

odgłosy



Nr 39 (343)
 27. IX. 1964 R.
 10 stron
 CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII



JERZY AMBROZIEWICZ

CHATA za MIASTEM

Kręciłem się niespokojnie wokół rynku i czekałem Jego przyjścia. Było słoneczne, ciepłe popołudnie małego miasteczka. Czas towarzyskich spacerów, wychodzenia przed domy i wysiadania na ławkach. Mogłem pójść nad Prosnę, do przystani, w której było gwarnie i wesoło lub usiąść przy stoliku jednej z dwóch zacisznych wieruszowskich kawiarni. A jednak siadłem na ławce twarzą wprost na drzwi budynku do którego miał przyjść On.

Byłem w tym miasteczku od kilkunastu godzin i znałem już historię ławki, na której teraz usiadłem i dźwięk czerwonych dachówek przy rynku oraz losy nowoczesnych bloków, z przestronnymi witrzynami, które nadawały Wieruszowowi wielkomiasteczki szlif.

Wiedziałem też o przygodzie pana Huncia, tułajczego rodaka, mieszkańca Ameryki, który przed rokiem przepłynął ocean, i zjawił się na rynku swego rodzinnego miasteczka. Dom, w którym pan Huncia przyszedł na świat stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym pobudowali go murarze przed pierwszą wojną światową. Zmieniło się jedynie otoczenie i sama fasada kamienicy, ochlapanej na świeżo tynkiem, żeby nie odbijała zanadto od kolorowych bloków z nowoczesnymi balkonami i magazynami. Pan Huncia wysiadł z autobusu stęskniony za Wieruszowem i rodziną o jeden dzień wcześniej niż oczekiwali go krewni. Wysiadł w późny wieczór, przekonany, że sprawi rodzinie niespodziankę. Nie przypuszczał, że największa niespodzianka przypadnie w udziale właśnie jemu. Mówiąc krótko, pan Huncia, wychowany do wojska przez dwadzieścia lat w Wieruszowie, nie mógł znaleźć swego domu, mimo że oświetlały go stojące w rynku latarnie i mimo że wysiadłszy z autobusu miał do niego zaledwie kilkadziesiąt kroków. Od zapóźnionego przechodnia dowiedział się, że nad Prosną jakiś TKKF pobudował przystanek-hotel. Tam, nad rzekę podążył z walizkami pan Huncia, któremu rodzinne miasto sprawiło szturpa. Dopiero nazajutrz wyścignęli go stamtąd miejscowi krewni, prowadząc za rączkę, wśród parku i klombów, przez rynek do kamieniczki schowanej za kolorowymi blokami.

Za ocean pełnęła pana Huncia wojna, która do Wieruszowa, dawnego przygranicznego miasteczka pukała zazwyczaj o świcie, już pierwszego dnia. Dział, w tymie lat po wrześniu 39 i styczniu 45, o wojnie w Wieruszowie świadczy czerwona dachówka na kamieniczkach w północno-zachodniej stronie rynku (nie zniszczone windy domy do dziś mają dachy kryte papą) i dwa, trzy najnowsze „citraony” lub „Ople” jeżdżące w kółko po miasteczku — własność tych, którzy, jak Huncia, przyjeżdżają do rodzinnego Wieruszowa w odwiedziny z zagranicy.

Wieruszów, leży teraz niemal pośrodku linii łączącej zachodni kraniec Polski

Andrzej
 MAKOWIECKI

WEZMIE
 nie
 WEZMIE

Oto jest pytanie
 Stanie? Nie stanie?
 — Stanie, stanie — rzucił ten w nylonowej koszuli z eleganckim sakwojażem w rękę. — Tylko schowaj, do cholery, książeczkę!
 — Jak to? — zdziwiłem się, ale polecenie wykonałem. — A to czemu?
 Tymczasem wozy przemykały gęsto; różne Skody, Wartburgi, i Ople, Warszawy i Syrenki, zapchały wszystkie — po sam dach.
 Wsunęci o kilkadziesiąt metrów przed konkurencyjną grupę, znajdowaliśmy się — logicznie rzecz biorąc — na pozycji spalonej; ale moi dwaj towarzysze byli dobrej myśli. Ze zaś oni kierowali akcją, a nie ja, oprócz książeczki, przyszło mi ukryć obawy.
 Południa jeszcze nie było, a dzień — dokładnie — ósmy sierpnia, gdy przekonałem się, że mieli rację.
 — Uwaga! — powiedział ten drugi, wysoki i zgarbiony, a Warszawa wymiatała właśnie tych

przed nami — pusta była, więc kwitowali to głośnym i szczerym oburzeniem, opuszczając, jeden po drugim uzbrojone w „autostopy” ręce.
 — Klawo! — rzekł wysoki przysgarbiony i wyciągnął z dużym wdziękiem ramię.
 Kierowca wyminał nas, zjechał na skraj szosy i przystanął.
 — Do Torunia — rzekł, gdyśmy dolecieli. Potem dorzucił krótko: — słowa!
 Wówczas, w wygodnej Warszawie, w drodze na Toruń przypomniałem sobie słowa Anioła, który specem był od autostopu.
 — To jest ostatni z Mohikanów — rzekł, wskazując mi palcem brudasa w cągowych spodniach, który chyłkiem przemykał się pod ścianami kawiarni.
 A potem Anioł mówił tak:
 — Bracie, brak dawnego kolorytu miastom, kawiarniom i restauracjom, szosom i polom jarym, brak lasom... To nie to co daw-

nej. Na całym Wybrzeżu, na jeziorach i w górach spotykałeś kiedyś tych brudnych, kolorowych ludzi, z plecakami na ramionach i kradzionymi owocami w gębach. W tym niechlujstwie było tyle uroku, niczym nieskrępowanej swobody i piękna, że zapomniałeś o Afryce i Górach Skalistych, o Florydzie... Jeździłem cztery lata, to wiem. Kury się kradło i indyki, kolowało się chłopów na buksowe zegarki, jeździło autami „za frajer” i miało cały świat w nosie, a młodzieńczy entuzjazm w sercu. A teraz? — wskazał Anioł, na brudasa w cągach.
 — Zobacz, bracie, jak ta bida cierpi, jak wieri się niespokojnie i krzywi. Zle się czuje i to nie tylko tu — w kawiarni, ale i na szosie. Dziś autostopem jeździ się raz w miesiącu, w nylonowej koszuli, a po to, by zaoszczędzić na podróży. Prawdziwy, niechlujny, cygański stop wymiera, bra-

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 4



Sezon jesienno-zimowy w polityce międzynarodowej można chyba uznać za otwarty. Zapowiedź wizyty premiera Chruszczowa w NRF, a przedtem jeszcze — być może — spotkanie Erhard — de Gaulle, pobyt w ZSRR liczonej grupy parlamentarzystów japońskich, wizyta w Polsce cesarza Etiopii — Haile Selassie, a także kampania wyborcza w USA, i W. Brytanii (termin wyborów parlamentarnych ustalono na 15 października) — wszystko to, żeby wymienić tylko ważniejsze fakty, jest niewątpliwie inauguracją zazwyczaj obfitą w liczne wydarzenia polityczne jesieni.

Niestety, jesień tę zainaugurowano również nową prowokacją na Morzu Karaibskim. Frachtowiec hiszpański — „Sierra Aranzazu”, wiozący na Kubę ładunek drobnocowy, został brutalnie zaatakowany ogniem karabinów maszynowych i dział. Choć bezpośrednimi sprawcami pirackiej napaści są najprawdopodobniej bandy kubańskich kontrrewolucjonistów — nie może to jednak nie obciążać Stanów Zjednoczonych.

Przed wszystkim dlatego, że same niejednokrotnie dawaly przykład polityki siły i awanturnictwa, po wtóre dlatego, że głoszą i narzucają sojusznikom gospodarczą blokadę Kuby.

Okoliczności ataku na „Sierra Aranzazu” nie zostały wyjaśnione. Są one tym bardziej tajemnicze, że — jak podkreślił rzecznik ambasady hiszpańskiej w Waszyngtonie — napad nastąpił w strefie „bardzo dobrze kontrolowanej przez siły USA... Dysponują więc one dostatecznymi środkami, aby wyjaśnić wydarzenia w rejonie, gdzie ich odpowiedzialność — w związku z wszystkim, co się tam dzieje — jest oczywista”.

Nie jest przypadkiem, że ofiarą tego pirackiego wyczynu stał się frachtowiec hiszpański. Jedno z kontrrewolucyjnych ugrupowań skrupulatnie bowiem zanotowało fakt, że „Sierra Aranzazu” po raz trzeci już udawał się na Kubę. Jest to — jak zawiadomił telefonicznie amerykańska agencja UPI nieznanym rozmówcą — „początek ataków bez ostrzeżenia na wszelkie statki, niezależnie od narodowości, które prowadzą handel z Kubą”.

Jak naszym Czytelnikom z pewnością wiadomo, Stany Zjednoczone prowadzą „czarna listę” statków, które zawiązują do wybrzeży kubańskich. Mimo jednak amerykańskich gróźb lista ta wcale się nie kurczy, a wręcz odwrotnie — rozszerza. Obecnie ona już 244 statki, z tego naj-

więcej pływających pod banderami brytyjską, libańską i grecką.

Nawet oficjalne czynniki USA musiały niedawno przyznać, że w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy statki krajów kapitalistycznych dokonały 628 rejsów na Kubę.

Czyżby więc z pomocą kontrrewolucjonistów postanowiono wypróbować radykalniejsze środki?

Jeśli tak — to inicjatorom stosowania korsarskich metod trzeba powiedzieć: próżno się trudzić. Ta droga nie można osiągnąć niczego innego, prócz wzrastającej fali oburzenia.

Atak na hiszpański statek przypomina, że jednym — z aktualnie ośrodków niepokoju w świecie jest strefa Morza Karaibskiego. Dopóki USA nie pogodzi się z faktami dokonany, a do nich należy m. in. socjalistyczna Kuba, potencjalne ogniska wzrostu napięcia nie będą wyniszczone.

Ta uwaga w pełni odnosi się również do innego rejonu — Półwyspu Indochińskiego. To, co dzieje się w południowym Wietnamie — jak słusznie zauważył jeden z komentatorów — przypomina zwiartany film. Nawet pilnie śledzącym rozwój sytuacji trudno nadążyć za wydarzeniami. Khahn — jak „wanka-wstanka” — to odchodzi, to znów powraca. „Wyczerpany psychicznie” — tak przecież próbowano uzasadnić jego odejście — po dwóch dniach powrócił, by energicznie „przystąpić do tworzenia wysokiej rady narodowej, której zadaniem ma być opracowanie tymczasowej konstytucji”.

W kraju panuje zupełny chaos, który tylko wzmacnia front walki przeciwko marionetkowemu gabinetowi.

„Sytuacja w Wietnamie — pisał w ub. tygodniu „New York Times” — zdaje się być nie do naprawienia. W najlepszym wypadku można mieć nadzieję, że uda się zamrozić istniejący chaos na okres ok. 8 tygodni i że po wyborach w USA zarówno Waszyngton, jak i zmęczani wojną Wietnamczyści podejmą jakąś możliwość do zaakceptowania próby zalanania problemu”.

Wypowiedź, przynajmniej Czytelnicy, wiele symptomatyczna, potwierdzająca, że obecna polityka Stanów Zjednoczonych wobec Wietnamu właściwie załamała się. Paniczny lęk przed „neutralistycznym zamachem” kazał już wprowadzić Stanom Zjednoczonym raz wymienić zaprzęg w marionetkowym woźku południowowietnamskim, nie zmienił jednak ani na jotę ich polityki wobec Wietnamu. Skutki — to właśnie ów zwiartany film, na którym przyszła i odejścia Khahna, demonstracje i zamachy dokonują się szybciej niż dociera to do widza.

A przecież nawet najbliżsi przyjaciele Stanów Zjednoczonych radzą: droga wojny w Wietnamie nie doprowadzi do rozwiązania problemu...

Cóż, kiedy Waszyngton i w tym rejonie świata nie chce pokusić się na realistyczną ocenę.

W. SŁAWSKI

W OCZACH WŁOSKIEGO PISARZA

Włoski pisarz Primo Levi (nie mylić z Carlo Levi i Paolo Levi) napisał książkę pt. „La tregua” (Zawieszenie broni), która o mało co nie otrzymała Premio Strega (nagrody przyznawanej rokrocznie we Włoszech), otrzymując 55 głosów. Primo Levi, który z zawodu jest chemikiem, w latach 1944—45 był więźniem Oświęcimia i książka jego opowiada o pobycie w obozie, a następnie o powrocie do Włoch po zakończeniu wojny. W swej książce poświęca Polakom, zwłaszcza więźniarkom polskim, pisząc o nich ciepło i z sympatią. Pisze również o Katowicach i Krakowie, przez które wzięto go w transporcie jeńców. Książka zaleca się rzetelnością i obiektywizmem, co zwiększa jeszcze grozę opisywanych faktów.

JÓZEF HEN NA LIŚCIE ANTYBESTSELLERÓW

Niezależny miesięcznik „konkret” (nr 9 z września br.), wydawany w Hamburgu, ogłosił listę tzw. antybestsellerów, godnych przeczytania. Z pozycji polskich autorów znalazła się na tej liście książka Józefa Hena „Der Boxer und der Tod” (Bokser i śmierć), zawierająca opowiadania „Krzyż Walecznych” i „Wdowa majorka”. Książki punktowane następująco: koniecznie przeczytać, warto przeczytać, można przeczytać, nie warto przeczytać. Hen znalazł się wśród książek, które koniecznie trzeba przeczytać. W tym samym numerze zamieszczono również krótką recenzję o wspomnianym tomie opowiadań Józefa Hena.

O FILMIE POLSKIM

W „Neue Zürcher Zeitung” (z 5 września br.) ukazał się artykuł pt. „Filmowe odwieczności w Polsce”, którego autor, zresztą nie podpisany, wdaje się w ocenę naszej produkcji filmowej lat ostatnich. Autor uważa, że w rozwoju polskiej sztuki filmowej nastąpił pewien zastój i nie może ona konkurować obecnie z filmami innych krajów. Za najciekawsze (co nie znaczy: najlepsze) uważa krytyk „Pasazerkę” Munka, dokończoną przez Lesiewicza oraz „Milczenie” Kazimierza Kutza. Pewna odmiennie na lepsze widzi krytyk szwajcarski w próbach, pochodzących nie — jak sam pisze — od znanych reżyserów, lecz od pisarzy. Za taką udaną próbę uważa on „Weekendy” Józefa Hena. Pod koniec artykułu czytamy jeszcze jedną przychylną wzmiankę o łódzkiej Szkole Filmowej.

NIEMIECKI KRYTYK O WOROSZYLSKIM

W „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (z 5 września br.) Hedy Pross-Werth zamieszcza recenzję o książce Woroszylskiego o Sałtykowie-Szczedrinie pt. „Träume unter Schnee” (Sny pod śniegiem). W zakończeniu recenzji, która w zasadzie jest raczej pozytywna, krytyk pisze: „Artystyczna dojrzałość Woroszylskiego wydaje się nie dociągać w pełni do wagi i znaczenia Sałtykowa-Szczedrina, wskutek czego nie udało się całkowicie oddanie symboli pomiędzy autorem i jego bohaterem. Bez wątplenia jednak należy Woroszylski do grupy niewielu rzeczywiście utalentowanych pisarzy współczesnych”.

„WIERNA RZĘKA” W ZSRR

„Wierna rzeka” Stefana Żeromskiego, rzecz o powstaniu styczniowym, nigdy do tej pory nie była tłumaczona ani w Rosji, ani w ZSRR. Obecnie dotarł do nas pierwszy przekład tej powieści, dokonany przez Nadieżdę Krimonową i wydany nakładem Wydawnictwa Literaturnego w Moskwie. Wysokoci nakład: 50 tysięcy egzemplarzy. Nie przesadzimy chyba, gdy powiemy, że jest to swoliste wydarzenie literackie.



Interpressfoto 64 jest trzecią wystawą fotografii prasowej organizowaną pod protektoratem Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy. Pierwsza wystawa eksponowana była w Berlinie w 1960 r., druga w Budapeszcie w 1962 roku.



Azji i Ameryki Łacińskiej. Zakwalifikowano na wystawę 372 zdjęcia, 167 fotoreporterów z 21 państw. Hasłem wystawy jest — pokój i współpraca między narodami.

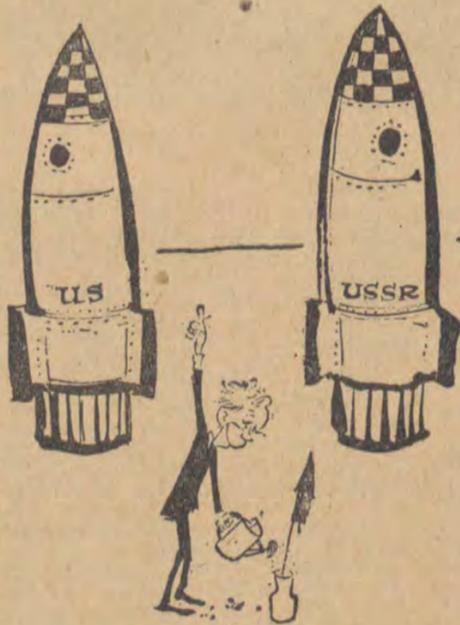
Przeglądając nadesłane prace jury przyznało: Grand Prix Interpressfoto 64, Adamowi Kaczkowskiemu (Polska), za fotoreportaż „Bramy tragedii” przedstawiający różne fragmenty dawnego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Poza tym przyznano trzy złote medale, pięć srebrnych medali i osiem brązowych.

Poziom eksponowanych prac jest raczej przeciętny. To nie jest ten światowy poziom fotografii prasowej jaki oglądamy w czasopiśmie zagranicznych. W wystawie nie wzięli udziału czołowi fotoreporterzy świata. Brak jest także kapitalnych reportaży fotoreporterów radzieckich, oglądanych w „Sowietskoje Foto”.

Wystawa, po prostu nie obrazuje prawdziwego dorobku fotografii prasowej. Można to tłumaczyć także tym, że w tym samym okresie w Holandii organizowana jest wystawa „World Press Photo” i ona prawdopodobnie zawiera lepsze prace fotoreporterów.

E. KUDAJ

U góry jedno ze zdjęć nagrodzonego fotoreportażu pt. „Cypr 1964”, który otrzymał złoty medal i nagrodę Ministerstwa Kultury.



Musimy mieć własną atomową siłę uderzeniową... (z przemówienia przedwyborczego premiera Hume'a).

„HEIL PFEIFFER”!



zentowała się niedawno mieszkańcom chilijskiego miasta Valparaiso nowa partia polityczna tego kraju — „Narodowosocjalistyczna Partia Chile”.

„Führer” N.S.Ch.A.P. — Franz Pfeiffer zapewnił na konferencji prasowej: „...nie jesteśmy wywrotowcami, chcemy zdobyć władzę drogą legalną i w wypadku jeśli się to nam uda nie będziemy prześladowali innych partii”. Wytuszczając na tej samej konferencji założenia ideologiczne partii, Pfeiffer oświadczył również: „Hitlera traktujemy nie tylko jako założyciela naszego ruchu, ale jak geniusza...”.

Władze chilijskie potraktowały zrazu całą tę historię z przymrużeniem oka. Kiedy jednak na ulicach zaczęły się mnożyć zajścia między faszystowskimi bojówkami i członkami związków zawodowych oraz organizacji lewicowych, zajścia w których nierzadko lała się krew, minister spraw wewnętrznych de Sotero del Rio wydał zakaz działalności partii i nakazał zamknięcie wszystkich jej lokali. Ową decyzję przyspieszyły niewątpliwie interesujące odkrycia chilijskiej policji. Oto bowiem w Valparaiso, w stolicy kraju — Santiago de Chile oraz w wielu innych miejscowościach kraju ujawni-

niono tajne arsenały broni, stanowiące własność chilijskich hitlerowców. Władze doszły zatem do wniosku, że owa partia przestaje być zabawna, a może się stać niebezpieczna.

Choć hitlerowskie widma przestały już straszyć obywateli republiki andyjskiej, prasa chilijska poświęca nadal temu wydarzeniu wiele uwagi. Spośród szeregu opinii warto szczególnie zapoznać się z opinią prasy związanej z silną w Chile kolonią niemiecką. — Nikt zdrowo myślący — twierdzą owe koła, a za nimi niektóre zachodniemieckie gazety — nie uwierzy w to, by niemiecka kolonia w Chile udzielała owemu ruchowi materialnego, lub ideowego poparcia. To prawda, że „führer” partii Franz Pfeiffer jest z pochodzenia Niemcem, ale przecież zarówno nazwiska, jak i wygląd zewnętrzny większości członków hitlerowskiej partii Chile, wskazują na ich indiańskie pochodzenie.

No proszę, hitlerowcami są Indianie! A to, że gdzieś tam „zaplątało” się kilkudziesięciu Niemców oraz, że wozdem jest również Niemiec, to po prostu zwykły w świecie przypadek...

Oprac. J. Bin.



Benon Liberski „Oczekiwanie”

KRONIKA ZAGŁADY

Od lutego 1940 r. do sierpnia 1944 r. funkcjonowała na terenie Łodzi jedna z najokrutniejszych organizacji, jaką stworzył człowiek: Litzmannstadt — Getto. W dzielnicę baluckiej, podzielonej na trzy kwadraty jezdniami ulic Zgierskiej i Limanowskiego, stłoczono ponad 160 tys. Żydów. Czwartej części tych ludzi udało się uniknąć komór gazowych i spaleni w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem — zmarli naturalną w tym czasie śmiercią — z wyczerpania głodowego.

Z upoważnienia władz niemieckich cesarzem w tym państwie śmierci, odgrodzonym od miasta i świata drutami kolczastymi i jeszcze szerszymi zasiekami samotności, stał się Żyd litewski, Mordechaj Chaim Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów (Der Aelteste der Juden). Władza jego kończyła się tam, gdzie zaczynała się władza Niemców. Rozwinął makabryczny system protekcji mógł cesarz, przez, król Chaim I (różnie nazywa Rumkowskiego głodująca ludność) przedłużać życie swoich przyjaciół i podopiecznych o tygodnie, a nawet miesiące, decydując bowiem o kolejności pójścia na zagładę, ale niczego więcej wytargować u Niemców nie mógł. Sam zresztą, jako jeden z ostatnich, podzielił los mieszkańców getta — w byłym wagonie, oddzielnym wprawdzie, został powieszony do Oświęcimia.

Od 1940 r. na terenie getta działała organizacja lewicowa, która w momencie likwidacji getta liczyła blisko 1000 osób. Organizacja ta nie wysunęła jednak hasła walki zbrojnej.

Pierwsze masowe wysiedlenie Żydów z getta łódzkiego, przez które rozumieć należy wywiezienie do obozów zagłady, miało miejsce w pierwszej połowie 1942 (w trzech etapach łącznie 54.991 Żydów). Wśród deportowanych znaleźli się przesiedleni do getta łódzkiego Żydzi z wielu krajów Europy. O ich losach opowiada publikowany po raz pierwszy fragment „Biuletynów”. Dokumenty te opracował zespół redakcyjny w Wydziale Archiwum Przełożonego Starszeństwa Żydów w Litzmannstadt — Getto.

Znaleziono w 1945 r. dokumenty te, z których tylko 10 % uległo zniszczeniu przekazano do Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

Obecnie „Biuletyny Kroniki Codziennej”, najpełniejszy przekaz dokumentalny w dziejach getta, przygotowywane są do druku przez Wydawnictwo Łódzkie.

Poniżej drukujemy fragmenty kroniki.

K. F.

BIULETYN NR 11 ZA MIESIĄC MARZEC 1942 R.

ZGONY I URODZENIA

W miesiącu marcu 1942 roku zmarli w getcie 2.244 osoby (w styczniu bieżącego roku zmarło 1.877, w lutym 1.875)... Mężczyzn w marcu zmarło 1.411, kobiet 833. W marcu zarejestrowano 54 wypadki urodzeń: 25 chłopców i 29 dziewczynek. Jedno niemowlę urodziło się martwe, w dwóch wypadkach nastąpił przedwczesny poród.

SAMOBÓJSTWA

Dnia 1 marca wspólnie popełniło samobójstwo przez użycie większej dawki luminalu małżeństwo Wiktor i Daisy Heller, wygnańcy z Pragi. Wiktor H. urodził się w Czechach w 1882 roku, żona jego

w Londynie w 1886 roku... Został on list z którego wynika, że Hellera do desperackiego czynu popchnęła choroba i udreki życia, żonę zaś, chęć podzielenia losu z małżonkiem.

4 marca pozbawiła się życia, skacząc na jezdnię z mostu zawieszzonego nad ulicą Zgierską przy kościele, Sara Tenenbaum (ul. Gnieźnieńska 26), ur. w 1886 r. w Brodach.

Dnia 2 marca wyskoczyła z okna 3 piętra domu przy ul. Jakuba 10, gdzie się mieści kolektyw Żydów z Pragi, Elza Benda (ur. w Pradze w 1889 r.). W stanie beznadziejnym odwiedziła ją do szpitala. Zmarła ona w męczarniach po upływie doby.

Dnia 9 marca o godz. 20 popełniła samobójstwo przez zażycie większej dozy nasennego środka Rola Pacanowska, wdowa, ur. w Warszawie w 1877 r. Zmarła w szpitalu, po kilku godzinach, nie odzyskawszy już przytomności.

ORGIA CEN NA RYNKU ŻYWNOŚCIOWYM

W marcu ceny artykułów żywnościowych w prywatnym handlu rosły z dnia na dzień. Orgia drożyzni pozostawała w ścisłym związku z akcją wysiedleńczą. Pod koniec miesiąca ceny na rynku prywatnym zwykły jak następuje: za chleb żądano 160 mk¹⁾ w połowie miesiąca 110 mk, mąkę 140 mk, kartofle 18 mk, cukier 80 mk, oliwę 200 mk, 30-dekagramowa porcja mięsa 26 mk²⁾, 1 kg kiełbasy 80 mk, drzewa 1,50 mk (na początku miesiąca — 0,30 mk), za 1 kg brykietów 0,80 mk.

BIULETYN NR 13 ZA OKRES OD 1 DO 10 KWIEŚNIA 1942 R.

Wysiedlenia z getta nadal trwają, codziennie wysyła się tysiąc osób. Jeżeli jednego dnia brak pewnej ilości, musi ona następnego dnia zostać dopełniona. Warunki wysiedlenia stają się codziennie ostrzejsze; ostatnio wysiedleni opuszczają getto zupełnie bez bagaży i bez pieniędzy. Za spieniężone graty domowe, za pościel, odzież itd. otrzymują bezpośrednio od nabywców, względnie od Centrali Zakupów grosze i z sumy tych groszy kupują za ogromne pieniądze chleb i inne artykuły żywnościowe. Chleb 2-kilogramowy był w cenie 150 mk i nawet wyższej, kilogram drzewa natomiast spadł do 20 fenigów, jeżeli zważyć, że duża szafa lub toaleta waży około 50–60 kg — ileż to mebli trzeba sprzedać, żeby kupić 1 bochenek chleba na drogie? Centrala Zakupów płaci za wyzmaczki, naczynia, bieliznę itd., grosze, dla przykładu: za wyzmaczkę od 5 mk do 2 mk za bardziej zużyta; stos bielizny — za kilka marek!

O ile dawniej ten orszak wynędzniałych starców i dzieci o trupich twarzach wywierał makabryczne wrażenie na przechodniach, o tyle oko przywykło już teraz do przejeżdżających reserek, załadowanych na wpół żywymi resztkami ludzi. Owinieci w łachmany, ledwie widoczni, leżą nieruchomo na wozach. Bezmyślny wzrok utkwiony w niebo, blada, bezkwiśta twarz, przez którą przebija jakiś ciech, ale straszny wyrzut dla tych, którzy jeszcze pozostali i w niepewności przeżywają się po getcie.

Nazywano się, że 3 kwietnia br. ma ustać wysiedlenie, ale znów wymienia się nowe liczby dalszych wysiedleń — mówi się nawet o zupełnej likwidacji getta.

Panuje niepewność, która w dużej mierze dezorganizuje życie getta, bowiem każdy liczy się z ewentualną wysyłką i odpowiedzialnością urzędu.

BIULETYN NR 14 ZA OKRES OD 10 DO 14 KWIEŚNIA 1942 R.

(PIĄTEK — WTOREK)

PIERWSZA WIADOMOŚĆ O WYSIEDLONYCH

Dnia 12 kwietnia krótko bawił na Baluckim Rynku wyższy oficer tajnej policji, pełniący stanowisko komendanta obozu, w którym znajdują się wysiedleńcy z getta... Ustalono zostało niezbicie, że miejscem obozu jest okolica bezpośrednio sąsiadująca z miastem Kołem, ewentualnie obecnie Warthbrücken. Obóz mieści 100 tysięcy Żydów, z czego wynikałoby, iż poza wysiedlonymi z getta 44 tysiącami skoncentrowano w tym obozie Żydów i z innych miast.³⁾

BIULETYN NR 22 Z 29 I 30 KWIEŚNIA 1942 R.

(SRODA I CZWARTEK)

BEZROBOTNI ZACHODNIOEUROPEJSCY ŻYDZI OPUSZCZĄ GETTO

We środę około godz. 1 rozeszła się po getcie wiadomość, iż bezrobotni „Niemcy”⁴⁾ zostaną wysiedleni. Wiadomość ta wywołała ponownie podniecenie. Po kilku godzinach żółty plakat obwieszczenia nr 380 potwierdził autentyczność tej niespodziewanej, sensacyjnej wiadomości. Treść powyższego obwieszczenia: „Z polecenia władz podaje przez do wiadomości, iż od poniedziałku dnia 4 maja rozpocznie się wysiedlenie wysiedlonych do getta Żydów z dawnej Rzeszy, Luksemburga, Wiednia, Pragi. Nie zostaną wysiedleni oznaczeni żelaznymi krzyżami, oznaczeni za rany i pracujący. Pierwsze dwie kategorie winny swoje dokumenty przedstawić w Wydziale dla Przysiedlonych. Wysiedleni będą mogli zabrać 12,5 kg bagażu. Wysiedleni mogą rzeczy swe sprzedawać w Centrali Zakupów i w Banku. Biuro do spraw związanych z wysiedleniem czynne będzie w Wydziale dla Przysiedlonych przy ul. Rybnej 8. Biuro to udziela wszelkich informacji oraz przyjmuje podania i reklamacje...”

NOWE OBWIESZCZENIE W SPRAWIE WYSIEDLANIA

W późnych godzinach wieczornych rozplakatowane zostało drukowane na żółtym papierze obwieszczenie nr 380... Najnowsze obwieszczenie anuluje poprzednie w sensie różnic w tekście między jednym i drugim. Treść nowej „edycji” obwieszczenia nr 380 jest identyczna z pierwotnym obwieszczeniem nr 380 z tą jednak różnicą, że nie wyszczególnia kategorii nowej ludności⁵⁾ wolnej od wysiedlenia...

OBWIESZCZENIE NR 380

z dnia 29 kwietnia 1942 roku wywołało popłoch wśród nowowysiedlonych i słyszało się najróżniejsze komentarze. Na ogół dominowała koncepcja, że dla uratowania tutejszej ludności przed wysiedleniem — showano ją po resortach i po biurach, a wysunięto Żydów zachodnich. W pewnych kołach nowo wysiedlonych panowało ogromne rozgorzczenie, inni zaś bardziej trzeźwo patrzyli na tę sprawę i od razu szukali drogi do pozostania w getcie. Mimo, że wielu z przybyłych nie zezwolono na zabranie żadnych dokumentów, bardzo wielu z przybyłych przewoziło z sobą dowody swej walczności podczas wojny światowej i doprawdy zastanowił się trzeba, skąd wśród Żydów było aż tylu odznaczonych. Z drugiej strony bardzo wielu zamierza zrezygnować z przywileju pozostania i postanowiło odnaczyć w ogóle nie ujawniać. Przeszło 5 miesięcy na gołej podłodze, o głodzie i chłodzie nie zachęca ich zupełnie do walki o taki był w getcie. Wielu jest wśród nich ludzi, którzy dawniej byli nie tylko bardzo majątni, ale zajmowali ponadto wybitne stanowiska społeczne. W getcie większość z nich pracuje fizycznie, bardzo wielu nawet przy wywozie śmieci i fekalii i rozgorzczenie z tego powodu jest ogromne! W poszczególnych transportach sytuacja jest wprost tragiczna. Jeżeli weźmiemy dla przykładu transport „Berlin III”, to z przybyłych do getta około 1.100 osób... pozostało tylko 980 osób. Z tych w ciągu kilku miesięcy zmarło około 180 osób, a około 150 osób przeniesiono do Domu Starców. Dalej, około 100 osób znalazło jakieś takie zatrudnienie, a z pozostałej ilości przeszło połowa leży z popuchniętymi kończynami. Ruszyć się z miejsca nie mogą i są niezdolni do wędrowki. Jest wśród nich około 50 osób odznaczonych, a jednak wszyscy jednogłośnie uchwalili starać się o pozostanie i wyjechać łącznie w jednym transporcie...

Nowowysiedleni na gwałt wyzbijają się swych rzeczy, biorąc w zamian artykuły żywnościowe od ludności tutejszej. Dobry garnitur — za pół bochenka chleba, para butów — za 2 kg kartofli, pół kilo maki, czy też inny artykuł...

BIULETYN NR 25

PONIEDZIAŁEK, 4 MAJA 1942 R.

PIERWSZY DZIEŃ WYSIEDLANIA

W poniedziałek około godz. 8 rano wyruszył z dworca boczniczy radogoskiej pierwszy transport wysiedlonych spośród zachodnioeuropejskich Żydów, którzy wysiedleni zostali do getta przed pół rokiem. Na razie ustalony został jeden najważniejszy szczegół, związany z wyjazdem pierwszego transportu: wszystkim osobom wyjeżdżającym (transport składał się z tysiąca ludzi) odebrano bagaże, plecak, a nawet ręczne pakunki. Wiadomość o tym fakcie wywołała deprymujące wrażenie w całym getcie.

BIULETYN NR 26

WTOREK, 5 MAJA 1942 R.

DRUGI DZIEŃ WYSIEDLEN

Drugi transport wysiedlonych z getta zachodnioeuropejskich Żydów wyjechał w dniu dzisiejszym. Podobnie jak wczoraj odjeżdżającym odebrane zostały bagaże. Warto zaznaczyć, iż do transportów włączeni zostali również lekarze i personel sanitarny. Wyboru kandydatów do deportacji spośród lekarzy dokonało kierownictwo Wydziału Zdrowia. Łącznie wysiedlonych zostanie 15 lekarzy. Zdarzyły się wypadki dobrowolnego zgłaszania się do transportów osób spośród tutejszej ludności. Zgłoszenia te oczywiście są odrzucane, gdyż wysiedleniem objęta jest tylko nowa ludność. W dalszym ciągu, aczkolwiek w znacznym zmniejszonym zakresie, odbywa się handel rzeczami wysiedlanych. Za obiekty bardziej wartościowe przyjmują wysiedleni wyłącznie żywność, a nawet i bilety na zupy (cena ich waha się od 12 do 15 mk) lub marki niemieckie, obliczane po kursie 1 mk — 8 mk obiegowych. Kurs banknotów małych jest do 2 punktów wyższy od kursu banknotów stumarkowych.

BIULETYN NR 27 SRODA, 6 MAJA 1942 R.

TRZECI DZIEŃ WYSIEDLEN

W dniu dzisiejszym wyjechał trzeci transport wysiedlonych z Niemiec Żydów. Warunki wyjazdu nie zmieniły się. Wyjeżdżającym nie zezwolono na zabranie żadnych pakunków, toteż cały bagaż ręczny pozostał na stacji marysińskiej...

Nauczeni doświadczeniem ostatnich dni niektórzy wpadli już na stary pomysł włożenia na siebie kilku garniturów, kilku zmian bielizny i rzewanie dwóch płaszczy. Pierwszy płaszcz ściągają paskiem, a na nim wieszają zapasową parę obuwia i inne drobne rzeczy.

I tak trupio blade albo też woskowo-żółte twarze, popuchnięte, zrozpaczone, bezwładnie posuwają się na nieproporcjonalnie szerokich korpusach, ugnijających się i opadających pod własnym ciężarem. Przeniknięci są jedyną myślą uratowania tych drobnych resztek swego dobytku, bodajże kosztem ostatnich sił. Ostatni i ostateczny przywilej — „torba i kij” — został im również cofnięty.

BIULETYN NR 28 CZWARTEK 7 MAJA 1942 R.

CZWARTEY DZIEŃ WYSIEDLEN

Dziś opuścił getto transport wygnańców z Hamburga i Düsseldorfu. Rzeczy do najmniejszych paczek nadal są odbierane. Zostawia nie jest jedynie chleb i czasem trochę innej żywności...

Pod okiem policji następuje zajmowanie miejsc. Wtedy też nakazuje się odrzucanie zabranych rzeczy... Chorych i ludzi w bardzo podeszłym wieku tragarze wnoszą do wagonów. Sanitariusze pełnią swe czynności. Na punktach zbornych czynne są stałe stacje pogotowia lekarskiego. Warto sprostować krążące po getcie wiadomości o blichu wyjeżdżających. Wypadki z małymi wyjątkami się nie zdarzają.

Pociąg składa się — jak i przy poprzednich wysiedleniach z wagonów III klasy. Każdy z wyjeżdżających otrzymuje miejsce.

BIULETYN NR 30 WTOREK, 12 MAJA 1942 R.

AKCJA WYSIEDLENCZA

Trwa nadal. Dziś odszedł już dziewiąty transport. Do transportu kompletuje się 900–1000 osób, czyli już blisko 9 tysięcy zachodnioeuropejskich Żydów opuściło getto... Pociąg, który o godz. 7 rano zabiera codziennie wysiedlonych, kieruje się na Widzew. W Widzewie następuje zmiana lokomotywy i przestawienie pociągu na bocznicę.

Dnia 10 na bocznicę zjechał wagon z Żydami z Sieradza. Wagon ten został dołączony do transportu, było w nim około 40 osób. Przez okno dawali znaki, z których można było wywnioskować, że od trzech dni są pozbawieni jedzenia.

BIULETYN NR 34 NIEDZIELA, 17 MAJA 1942 R.

PO AKCJI WYSIEDLENCZEJ

W piątek dnia 15 bm. odszedł z dworca radogoskiego ostatni transport wysiedlonych z getta zachodnioeuropejskich Żydów... O godz. 7,30, tuż po odejściu pociągu, zebrani na dworcu przedstawiciele tajnej policji zawiadomili Komisarza Służby Porządkowej, iż wysiedlenie zostało zakończone... W ostatnim dniu warta niemiecka obezła się z deportowanymi w sposób względnie łagodny, pozwalając zabrać z sobą posiadany dobytek.

Służba Porządkowa powiadomiła jeszcze w nocy, iż do ostatniego transportu potrzeba jeszcze tylko 600 ludzi, zwolniła o 4 rano 80 wygnańców, znajdujących się na ostatnim przed opuszczeniem getta etapie, to jest na Marysinie.

Poniżej kilka danych cyfrowych: wysiedlenie odbywało się od 4 do 15 maja włącznie. Odeszło 12 transportów, zawierających 10.915 osób... Spośród kandydatów do wysiedlenia zmarły 94 osoby. Ze szpitali skierowano na wysiedlenie 25 osób. Około 300 osób — to ochotnicy spośród tutejszych.

¹⁾ — W getcie obowiązywała specjalna waluta w postaci tzw. kwitów markowych nazywanych potocznie „rumkami”.

²⁾ — Chodzi o mięso końskie.

³⁾ — W rzeczywistości Żydów tych deportowano do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem i stracono.

⁴⁾ — Chodzi tu o Żydów niemieckich.

⁵⁾ — Chodzi o przesiedlonych z różnych krajów europejskich poza Polską.



Dalszy ciąg ze str. 1

ze wschodnim, a granica znajdowała się nad uregulowanymi, większe rzeki. W miasteczku, które liczy sobie ponad trzy tysiące mieszkańców, znaleźć można zaledwie kilkunastu, którzy pamiętają wydarzenia sprzed 25 lat, w dniu 1 września, kiedy do opuszczonego przez wojsko i ludność Wieruszowa wkroczyli żołnierze Wehrmachtu, plądrując sklepy, grabiąc i paląc pół rynku. Takich, którzy pamiętali by czas pierwszej wojny, jest w Wieruszowie zaledwie trzech. Emeryci, grzejący swe stare kości na ławkach w rynku, ostatkiem ciepłych

CHATA ZA MIASTEM

promieni wrześniowego słońca. Tylko od nich można dowiedzieć się jak tania przed pięćdziesięciu laty kosztował w zaborze pruskim, do którego należało już Podzamcze (dziś część Wieruszowa tuż za Prosną) garnitur, a jak drogi spirytus, który w tej części miasteczka — czyli w zaborze rosyjskim — miał niską cenę. Z różnicy cen i sąsiedztwa dwóch zaborów żyło pół Wieruszowa i całe Podzamcze oddalone od siebie o kilometr. Na stronę pruską szła wódka i szpek, niesione w zakamarkach niedźnych polatanych ubrań tych, którzy mieli przepustki. Z Podzamcza do Wieruszowa ci sami wracali wieczorem, niczym dzientelmeni i damy, świeżo ubrani w tamtejszych sklepach: elegancko, barwnie i na czarno.

Siedziałem na ławce, przy rynku, w ogrodzie botanicznym i oczekiwałem na Niego. Wciąż nie nadchodził. Naprzeciwko odpoczywało trzech starszuchów, z których jeden, opowiadał o bombardowaniu Wieruszowa już po zakończeniu pierwszej wojny. Ta głośna opowieść, której każde słowo słyszałem dokładnie, była zapewne wynikiem rozbudzenia przeze mnie jego pamięci dziś rano.

Starszuch prawil o tym, jak w poniedziałek po pierwszym każdego miesiąca odbywał się w Wieruszowie jarmark. I jak w taki dzień, w 1919, niemiecka artyleria z Podzamcza ostrzelała rynek, na którym było pełno furmanek, ludzi i drobiu. Ludzie uciekali w poplochu, konie zrywały uprzęże, a kury fruwały nad rynkiem naszym spłoszone gołębie. Był to podobno odwet za zabranie grenzschutzom kuchni i koni.

— A świętego Floriana, który stał na rynku Niemcy utopili w Prośnie, jak tylko tu weszli.

— Wywieźli — upierał się drugi z żywych świadków najodleglejszej historii.

— Utopili.

— Wywieźli.

Podniosłem się z ławki, przeszedłem ścieżką wokół klombów, których pojawienie się było przewróceniem dotychczasowych porządków w miasteczku.

Zanim powstał park środkiem rynku, jeszcze przed dziesięciu laty, przeganiano kozy, krowy, zdarzało się i świnie. Bruk, z którego wiatr podnosił kurz i wykrywał ponad dachy kamieniczek, pamiętał czasy Napoleona.

Gdy miał powstać park, tradycjonalści, przywołali na obronę kocich łbów historię.

— Jak śmiecie ruszać te kamienie, krew naszych dziadków — wołali w stronę tych, którzy zdecydowali się skoczyć z przegonem bydła przez środek miasta, przed samą siedzibą powiatowej władzy.

Czekałem wciąż na tego, który zaczął to przewracanie porządków w Wieruszowie jeszcze przed wojną. Miał być dziś w przydium. Tak mówił portier, tak mówili wszyscy, których o Niego pytałem. Wyszli z domu przed paroma godzinami ale jeszcze do miasta nie dotarli. Radzono mi bym zajął do gospody, ale w gospodzie też Go nie było. Już pół rynku wędziło, że Go szukam. Ktoś widział Go siedzącego w rowie, po drodze z Marianki do miasta. Ktoś inny widział Go już przy budce z piwem. Wciąż jednak nie mógł dotrzeć tam, gdzie Go oczekiwano, na ważne zebranie w przydium, w sprawie rolnictwa.

Nie znalazłem Go. Wiedziałem o Nim

tylko, że jest kaleką, ma chorą nogę, toteż gdy podniosłem się z ławki przy klombie i zobaczyłem idącego po chodniku utykającego starszucha, podszedłem pewny, że to właśnie On.

— Pan M? — spytałem.

— Nie, odpowiedział słazek, który okazał się niewidomy. Ale M. jest w mieście, widziano Go. Tu na ławce musza siedzieć mężczyźni, którzy wiedzą gdzie jest M. — biała laska wskazał na klomb.

Istotnie jeden z tych, którzy gawędzili pod drzewem domyślał się, gdzie może być M. Powiedział, żebym szedł za nim. Przed domem na Warszawskiej kazał mi chwilę zaczekać. Po jakimś czasie wyszedł, a za jego plecami ukazał się M. Skulony, mizerny, ubrany tak, jak ci, którzy z czasów pierwszej wojny szli po garniturze z Wieruszowa do Podzamcza. Zaledwie zrobił parę kroków, zaniósł się kaszlem.

— Jest po kilku kieliszkach — szepnął mi do ucha, ten, który wyciągnął Go z ławki, a teraz szybko żegnał się i odchodził.

M. z głową skuloną w ramionach, jak słynny dzwonnik z Notre Dame, kuścił się na stronę skweru, przy bocznej ulicy. Nagle przystanął, opierając się ciężko o parkan. Zaniepokojony podbiegłem ku Niemu.

— Nie, nie — powiedział. To tylko ta cholerna noga.

Spojrzałem na podkurczoną prawą nogę. Odwinięta nogawka odsłaniała kawałek bandaży i skarpetki przesiąkniętej ropą i krwią. Zaprowadziłem Go do pobliskiej ławki, i dopiero gdy usiadł mogłem spojrzeć Mu w twarz. Miał niegoloną brodę i małe oczy ukryte za drucianymi okularami, jakie noszą szewcy, starca twarz i białe zęby. Wyglądał, jak człowiek wypuszczony z niezbyt dobrego domu opieki.

M. był pierwszym komunistą Wieruszowa. Ludzie, którzy nas mijali, mówili mu „dzień dobry M.“ Odpowiadał na każde pozdrowienie i to przerywało na chwilę tok jego opowieści. Mówił pomalutku, z namysłem, jakby starał się przewyciężyć alkohol, który miał w sobie. Mówił swój życiorys. I co chwila sięgał po legitymację weterana oraz odcinek renty specjalnej z wypisaną sumą 1880 zł. Co chwila też powoływał się na kogoś, kto mógł potwierdzić, że każde słowo jest prawdą. Dziwne rzeczy działy się ze mną podczas jego opowieści. Gdy mówił o strajku szkolnym 1905 roku i o tym jak zerwał w klasie portret cara, carycy, a orla carskiego utopił w Prośnie, przysiadłem się Jego chorej nodze i zastanawiałem: dlaczego skarpetka przylgnęła Mu skorupą do ciała.

Gdy opowiadał o pierwszej komóreczce KPP, którą założył w Wieruszowie, i swoich wozach po jarmarkach z mędrem i agitacją, ja myślałem dlaczego nie posyłała po Niego na Mariankę samochodu, wtedy, gdy ma być w mieście.

Gdy wspominał demonstrację przed magistratem, którą organizował i której przewodził żądając pracy dla bezrobotnych, mnie nie dawała spokoju myśl, dlaczego aż tak się zantebal.

Gdy mówił o czasie spędzonym w przedwojennych więzieniach, o tulaczkach i pracach w niemieckich fabrykach a potem o amerykańskim nalocie, podczas którego dostał odłamkiem w krzyż — i dlatego nie może wyprostować pleców — męczyło mnie, by zadać Mu pytanie — czy nie ma kto naprawić kołnierzyka u Jego koszuli.

— Politycznie, mówił, dorobiłem się Sztandaru Pracy II klasy, obrazów u siebie nie mam, ale na ścianach wiszą dyplomy. Wtedy zapragnąłem zobaczyć jak mieszka. Pojechaliśmy na Mariankę. Kazał się wiesić na sam szczyt niewielkiej górki nad drogą, tam gdzie stała mała chałupa, bardziej podobna do kurnika niż domu. Wokół były wille porządne, murywane i gospodarskie, chłopskie budynki. Podeszliśmy do drewnianego krytego pasa, który nie miał przyzwoitego parkanu, ani żadnego nawet plotu, stał jak goly na klepisku.

M. poszedł w kierunku sionki, ja zatrzymałem się przy oknie. Zajrzałem przez szybę. W niewielkim pokoiku zobaczyłem dwa łóżka z pościelą na wierzchu i szafę.

Na łóżku tyłem do okna siedziała stara kobieta w czarnej kurtce, z chustką na głowie. Nie słyszała naszych kroków. Drzwi sionki były zamknięte od wewnątrz. M. zaczął się dobijać. — Otwórz, otwórz — krzyczał.

Gdy przestawał, słychać było niewyraźną muzykę z głośnika zawieszonoż tuż nad oknem.

Kobieta piła coś z garnuszka i jadła chleb.

Po długich szamotaniach M. dał sobie wreszcie jakąś radę z haczykiem. Otworzył drzwi na oścież, zapraszając do środka.

— Ona jest zupełnie głucha — powiedział ciężko sapiąc.

Wszedłem do kuchni, która nie miała podłogi i która mogła być dobra dla kur, ale nie powinna służyć za pomieszczenie gdzie przygotowuje się strawę dla ludzi.

W pokoju między dwoma łózkami leżało ziarno, a po nim spacerowały kury.

Kobieta siedząc wciąż na łóżku podniosła głowę i zobaczyłem jej okropnie starą twarz z jednym okiem. Natychmiast zsunęła czarna chustę aż na czubek nosa.

— Ten pan jest z Warszawy — krzyknął w jej stronę M.

— Z Warszawy, powtórzyła starowinka prostując się i ukazując wielkie zaniedbanie stroju.

— W Warszawie był ładny pogrzeb, prawda? — powiedziała odstawiając na podłogę kubek, z którego przed chwilą piła. Z pewnością podnieśnie go jutro, lub gdy jej się zachce pić. Weźmie ten garnek z podłogi i użyje.

Nie było gdzie usiąść i jak się obrócić. Odsunęta zasłona z jednego okna, spojrziała na mnie i zamruczała:

— Bieda bez dzieci.

Zgoniła kury z ziarna, które deptaliśmy wszyscy troje, bo było rozsypane na całej podłodze między dwoma łózkami stojącymi przy ścianach.

Nie powinienem żałować, że tu przyszedłem, choć to na co przyszło mi patrzeć było przerażające. Opuszczenie starców sięgało tej granicy, przy której nie powinno się już spotykać ludzi. W gardle miałem kwas, jaki daje dawno nie zamieniona podłoga i od miesięcy nie wietrzona pierzyna! Byłem wśród dwójga niedołężnych ludzi, skazanych z każdym dniem na coraz większe zaniedbanie.

— Jak mógł pan aż tak się opuścić, powiedziałem brutalnie do M.

— To nie ja się opuściłem, to mnie opuścił — odpowiedział natychmiast.

— Byłeś na zebraniu? Dadzą ci rentę — wtrąciła się starucha.

M. nie zwrócił uwagi na jej słowa, zaczął kuścić w kierunku drzwi. Wyszedł przed sionkę, ja za nim. Z sąsiednich domów powychodzili ludzie, oparli się o ploty i patrzyli w naszą stronę, ciekawo zapewne, kto też taki zawitał do M.

— Przychodzi tu kto w odwiedziny do pana — spytałem M.

— Tylko listonosz, co miesiąc, z rentą.

Zrozumiałem teraz też ciekawość, którą budziłyśmy stojąc we dwóch przed sionką. I wtedy dopiero pojąłem sens słów wypowiedzianych przez jednego z tych, do których skierował mnie ocemniálny na rynku i którzy pomogli mi odnaleźć M.

— Nie żałuj mu Władek tego kieliszka, mówił o M., Nie powinno się jemu tego zazdrościć.

— Pójdę się położyć, powiedział M. i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Za parę minut byłem znowu na rynku, wśród kwiatów i kolorowych bloków.

M. położył się już zapewne do równie świeżej jak jego kołnierzyk pościeli, obok ławki które przestały dziobać ziarno, bo zaczynał się zmierzch. Z głośnika nad oknem Warszawa nadawała mu koncert, ten sam, który słyszałem siedząc na rynku, patrząc na klomby pełne róż. I wtedy zacząłem zastanawiać się, czy M. zakładając w Wieruszowie pierwszą komórkę KPP, już wtedy budował te nowoczesne bloki, park pośrodku rynku, i przesuwał granicę znad Prozny nad większe rzeki, by w spokojnym miasteczku w cieple dni, starzy ludzie mogli wygrzewać swe obolałe kości, na ławeczkach, wokół klombów z różami, które w Wieruszowie są równie rewolucją, czy też to wszystko przyszło potem i niezależnie od M. wtedy gdy on miał już odłamek amerykańskiej bomby w krzyżu i nie gójącą się ranę na prawej nodze, przy kostce.

JERZY AMBROZIEWICZ

Przegląd PRASY

ODRA Nr 9-43

LUDWIK ERHARDT w interesującym artykule „NA MARGINESIE FESTIWALI KOMPOZYTORÓW” wypowiada kilka ciekawych uwag na temat błędnego rozumienia pojęcia kultury masowej: w naszym ustroju — pisze — nie o to chodzi, aby całe społeczeństwo stało się aktywnym odbiorcą kultury i sztuki, a naród składał się z 30 milionów melomanów — lecz aby kultura i sztuka, które z natury rzeczy są „elitarnie” były dostępne dla wszystkich, by granicą był nie cenzus majątkowy i klasowy lecz cenzus wrażliwości estetycznej, dyspozycji psychicznych, wrodzonych lub nabytych wykształceniem. Autor przypomina słowa Ehrenburga: „...w ogóle nakazać, zaszczepić albo narzucić upodobania nie sposób. Bogowie starożytnej Hellady spożywali nektar, który poeci nazywali boskim napojem, ale gdyby nektar zaczęto wprowadzać za pomocą sondy do żołądków obywateli ateńskich, sprawa z pewnością skończyłaby się ogólnymi wymiotami”.

KLEMENS KRZYŻAGORSKI w dowcipnym, zjadliwym i gorzkim artykule TRAKTAT O CHALTURZE — pisze — na podstawie analizy listy zakupów biletowych na różnorodne imprezy na Śląsku; ludzie nie lubią wrocławskiej pantomimy Bohdana Tomaszewskiego (który odnosi wiele sukcesów za granicą, we Francji, Niemczech i Ameryce), nie lubią Barbary Bitnerówny z jej zespołem, „Arabska”, teatru Grotowskiego, gdańskiego kabaretu „To tu”, lubią za to Kierdziołka, Koterbską, Malinowskiego. Autor zapytuje kogo i dlaczego propaguje nie kulturę, a kulturę chałtury? I odpowiada.

JULIAN PRZYBOS i JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ drukują swoje wielce kontrowersyjne wypowiedzi: CZYM JEST I POWINNA BYĆ POEZJA I CZY W OGÓLE PISANIE WIERSZY JEST DZIS MOŻLIWE. Obaj wypowiedzi są z pasją, przy czym są to dwie różne pasje — jedna zimna, druga — zewska. Z nich dwóch mniej skłoniłaby wydatek się nieagresywna pasja uporobstwa przy swoich poglądach estetycznych w najgorszym przypadku może przynieść szkodę twórcy obstarajemu „przy sobie”; bardziej niebezpieczna jest „zewska” agresywna pasja zwalczenia cudzych poglądów i teorii, której towarzyszą niedobre i dość tanie emocje: pogarda, napastliwość, złość, tak podobne do zawisti. Ta druga pasja nie kryje się z chęcią ujednolicenia praktyki poetyckiej, tworzenie w ogóle, groźną standardyzacją, sztuki pod strychnicę własnych poglądów, czyli na tzw. „własne kopię”. Gdzieś są te wyznaczniki obiektywne, że jedne poglądy są mądre a drugie głupie, kto ma talent a kto nie ma nie do powiedzenia? Poza tym od teorii do praktyki teoretyków bywa daleko. Nie teoria — ale praktyka jest sprawcą nędzy talentu poetyckiego.

ZDZISŁAW HIEROWSKI omawia wydane w r. 1963 PRZEKŁADY KSIAZEK CZESKICH, w dziale recenzji poza tym znajome nazwiska — Zbigniewa Pezdzińskiego, Jacka Łukaszewicza, Kamiana Segala. Poza tym ciekawie zrobiony przez znanego wrocławskiego teatrologa JOZEFĄ KELLER PRZEGLĄD SPEKTAKLI TYGODNIA TEATROW WROCŁAWSKICH, więc sztuk: Sofoklesa „Edypa”, „Gardci piasku” Przędzińskiego, któremu recenzent nie szczędił krytycznych uwag, „Parity” i „W popiół płodny” Grochowiaka oraz Turnera „Pod własnym dachem”. Ponadto w numerze bogaty dział informacyjny życia kulturalnego — lokalnego i ogólnopolskiego; miejsce także w WIERŚCE, M. IN, NIEMIECKIEJ POETKI Hanny Heide Krasze, dużo dobrego materiału ilustracyjnego i to wszystko doskonale zrównoważone materiałem społeczno-politycznym: „Zbrodnie seibschutzu”, „Werwolf” oraz obrazującym dorobek Wrocławia naukowego: „CHEMIA WROCŁAWSKA”. Zapowiedź artykułów pisarzy z całego kraju, m. in. BREZY, KLJOWSKIEGO, ZOLKIEWSKIEGO, SANDAUERA, WĄSKRA, SIERPINSKIEGO. Wszystko razem tylko — 100 stron druku, cena 5 zł.

Istnienia i znaczenia umożliwiającego wydawać nie właśnie takiej „Odry” — mieszcznika kulturalnego — Wrocławowi — pogratulować.



WEZMIE nie WEZMIE

Dalszy ciąg ze str. 1

cie, wy-mie-ra — skandował Anioł ze złością.

„Ano wymiera — pomyślałem spoglądając na swych eleganckich towarzyszy z „Warszawy”, którzy nie znosili w pociągach tłoku — wymiera, ale niezupełnie”;

I przypomniałem sobie szosę za Pabianicami, na Poznaniu:

Działo się to 26 lipca — w dzień piękny, słoneczny. W rowach przydrożnych czyhał autostop porzadzany leniwie a licznie. Wyjątkowo licznie, jak na ten chudy sezon: z piętnaście osób, chłopcy. Grupa odziana była tradycyjnie — mocno podbrudzona, wyświechtana, przy tym wesoła — niesłychanie. Prym w niej wiedli: brudas o nazwisku, czy przezwisku może — Sruba oraz Janek Bigbitowa.

Bigbitowa taszczył na szyi gitarę i występował w jej towarzystwie lansowane ostatnio przez Luxemburg szmoncesy ciężkich uderzeń. Spiewał także jako tako po polsku. Były to kowbojskie ballady. Sądząc po tęsknie przymkniętych oczach Bigbitowy, słowa do tych ostatnich układać musiał sam.

Ale gorszym bez porównania nicponiem był Sruba, mistrz od zatrzymywania wszelkich pojazdów: aut osobowych, ciężarówek i traktorów. Gdy od Pabianic zbliżało się coś z tych rzeczy, Sruba odważnie wychodził na środek szosy, ustawiał się tyłem do pojazdu i kokietał kierowców rytmicznymi ruchami bioder w myśl muzyki Bigbitowy i „Jeedziemy autostopem” — co wrzeszczała przeraźliwie cała ferajna. Niemal wszyscy kierowcy przystawali, albo zwalniali wyraźnie, nie było jednak takiego, co by idiota nie skłamał na czym świat stoi, lub zabrał. Idiota wyrządzał kolegom niedźwiedzią przysługę, bo ich, oczywiście, też nikt nie chciał wziąć.

Raz wyraźnie przeholował. Było to tak: z Pabianic wyskoczył mały Fiat. Przed Srubą nie zwolnił, a zatrzymał się dopiero, gdy wyminał idiotę. Kierowca Fiata zachował się dziwnie — gdy dopadła go pierwsza para chłopaków, wystawił nagle rękę i przebiegł palcami po krawędzi otwartego okna, pokazując w ten sposób, że mają nogi i mogą iść. Gdy ruszył, Sruba porwał z ziemi kamień i cisnął w tylną szybę. Gdyby nie była pod pewnym kątem pochyłona, skutki tego okazać by się mogły tragiczne.

Szukałem ich w Sieradzu, Łodzi, Zgierzu, Kaliszu, w Dąbrowie i So-

pocie, Toruniu i Olsztynie, w Głogoku.

Szukałem w muzeach, na wystawach i w zamkach, w Klubach Książki i Prasy i przy żniwach.

Znajdowałem — najczęściej — na dworcach kolejowych; znacznie częściej niż na trasie.

Stali podpierając się plecami o ściany, a nogą drżąc o podłogę. Popatrywali smętnie zmęczonym wzrokiem na wyeksploatowane do maksimum wytrzymałości ławki i czekali na okazję. Gdy zwolniło się jakieś miejsce, podnosili umiarkowany wrzask i biegli doń ze wszystkich stron poczekalni. Najszybszy siadał, na kolanach kładł worek, na worku głowę, i w pięć minut kimał smacznie ku zazdrości towarzyszy.

Tak jest w poczekalniach kolejowych wszystkich miast, choć na dworcach aut się nie łapie, choć są miejsca do spania w domach PTTK, w schroniskach i campingach. Nie śpiąją w łóżkach, bo nie mają pieniędzy. Dlatego też jeżdżą pociągami na gapę (w większości wypadków za przyjemność tę placą podwójnie), dlatego też kradną ze skrzynek pozostawione uczciwości mieszkańców miast mleko, dlatego też „podrywają” na łakach krowy; przechwalają się potem jeden przez drugiego, jak cudownie wykołowali z mleka to łagodne bydło. Dla tego samego, zapewne, nie spotkałem ich w toruńskiej galerii obrazów, a spotkałem pod gmachem ołbrzymim Narodowego Banku Polskiego, gdzie stali z dwie godziny i rozprawiali żywo, przeżykając silnie. W końcu przeгнаł ich stamtąd woźny.

Ale kłamie ten, co twierdzi, że autostop jest plaga. Te czasy minęły dawno. I, chyba, bezpowrotnie. Co prawda sprzedano tego roku w Łodzi około dwóch tysięcy książeczek, jednak trzy czwarte tych, co je nabyli to nie autostop. To studenci jadący do swych baz, których pełno na terenie całego kraju; w których są gabinety lekarskie, czytelnie i stolówki, a łóżko kosztuje sześć złotych za dobę. To uczniowie, których rodziny podróżują tam gdzie oni pociągami; odpowiednio wyposażeni — bez bagażu w ręce i z pieniędzmi w kieszeni, korzystający, gdy fart nie sprzyja, z pociągów i autobusów. To cwaniacy korzystający z książeczek na krótkich i wciąż tych samych trasach, np.: na trasie Łódź — Pabianice; niewiele to gorsze niż tramwaj i autobus, a nie nie kosztuje. To, wreszcie, starsi panowie, co podrobić chcą młodzików, co szokować chcą znajomych.

Każdy taki student, uczeń, cwaniak i snobek jeździ autostopem od przypadku do przypadku, czasem raz jeden w ciągu całego sezonu; każdy taki nie traktuje tego sportu wyczynowo.

Ci zawodowcy zaś — to brudaszy ze stacji, biedni jak kościelna mysz, często nieuczciwi i... Nie wiercie więc, gdy wam ktoś mówi, że autostop zmienił oblicze. To nieprawda! Jest go po prostu bardzo mało. Spotkać go po prostu trudno. Jest go z dnia na dzień mniej i mniej i głowę dam, że za rok, dwa, nie będzie go wcale. Bo kierowcy biorą niechętnie i rzadko. Coraz rzadziej. I trudno się dziwić, bo napady, włamania i kradzieże, zamachy na taksówkarzy i milicjantów, i śmierć!



Fot. E. Kudał

Zgoda — nie autostopu to sprawa. Ale strach pozostaje strachem, a — poza tym... może powiecie mi, kto w podzięce za uśmiech kierowcy porzucił beztalisko żyletką tylnie siedzenie szczecińskiego Wartburga, kto ukradł na trasie Ozorków — Toruń gumowe buty rybackie, dwie wędki i płaszcz? Kto? Paramonow? Zdanowicz? Nie oni jechali Wartburgiem i Starem, a stop!

Powiedział, powiedzieliśmy, powiedzieliście, powiedziałem — kierowca kierowcy, chłop chłopu, turysta turysty, i dlatego samocho dy bojkotują autostop, chłop nie dają mu schronienia, a nieufni turyści — pomocy.

— Jeśli już biorę — to nigdy tych z książeczkami — powiedział mi właściciel seledynowej Wolgi, którą jechałem na trasie Olsztyn — Giżycko. — Gdy widzę autostop — uciekam.

A więc nie przejmuj się, gdy jesteś daleko od domu, gdy w rowach siedzi autostop z książeczką a tobie jej brak. Gdy zobaczysz zbliżające się auto — podnieś rękę. Może to właśnie ciebie weźmie, jeśli wyglądem wzbudzisz zaufanie.

Znacie książki Londona, Curwoda? Posępne ballady o ludziach czynu? O tych co przez bagna i bezdroża, trzęsawiska i moczary biec musieli w upał, deszcz i mroź, w pogoni za wechem swym, który

mamił ich miłością prawdziwą lub nadzieją największej przygody?

Więc może są podobni im szaleńcy wśród tych z workami (autostopowiczów poznaje się po workach, Białe, bordowe, i czarne, kipiące brudnymi betami i opatrzone od zewnątrz fotografiami bohaterów piosenki, filmu i skandalu. Czasami eksplodują z nich także bicepsy kulturystów i sławnych sportowców, np. bohatera narodowego — Zbyszka Cyganiewicza, Worki wyparły plecaki. U dziewociu przypadkiem spotkanych stopowiczów naliczyłem ich dziewięć, kochający samotność, nie cierpiący życia w gromadzie? Tym nie zastąpimy autostopu niczym: ani wezsaami wędrownymi, ani wycieczkami rowerowymi i szkolnymi, ani rajdem motocyklowym, obozem szkoleniowym, rejssem po jeziorach lub Bałtyku, ani pensjonatami FWP. A szkoda! Są ich na terenie kraju tysiące i za grosze, dosłownie za grosze dają młodym dach nad głową i papu, a więc to, czego autostopowiczom chronicznie brak.

Jest podobno autostopowicz ze szczotką do zębów, czysty i schludny. Jeździ, by poznać kraj ojczysty: zabytki kultury, kopalnie i stocznie, elektrownie, biblioteki, porty. Na trasie jest zawsze fair: koleżeńskij i uczciwy. Pomagał przy żniwach i w zbieraniu owoców — zgodnie z apelem Komitetu Auto-Stopu. Odżywia się co najmniej dwa razy dziennie i sypia w oddziałach PTTK. Nie kłnie, nie kradnie, nie wzbudza litości. Kompleksów nie posiada; czuje się równie dobrze na trasie jak w kawiarniach, kinach i teatrach, do których zagląda czasem w wielkich miastach.

Jest taki stopowicz, ale ja go nie spotkałem, choć tropiłem go po wszystkich szlakach trzy miesiące.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

str. 5

ŁÓDZKIE XX-LECIE

MISTER ŁODZI

MYŚL: O gwałtownym rozwoju budownictwa mieszkalnego w Łodzi nie trzeba nikogo przekonywać. Powstają w naszym mieście bloki mieszkalne — coraz ich więcej i coraz ładniejsze. W tegorocznym plebiscycie na najpiękniejszy blok mieszkalny zwyciężył ten właśnie.

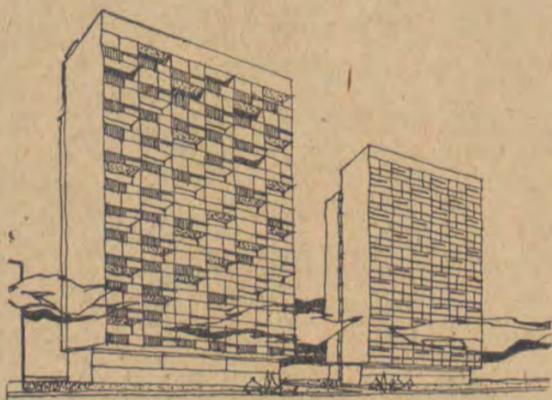
DANE: Adres Piotrkowska 203/205, Kubatura — 17.500 m³. Blok posiada 71 mieszkań i pomieści 285 osób.

INWESTOR: Łódzkie Zakłady Włókien Sztucznych „Anilana”.

PROJEKTANCI: architektura — mgr inż. Bolesław Kardaszewski, konstruktor — mgr inż. Tadeusz Nowicki — „Miastoprojekt-Łódź”.

KOSZT: ok. 15 milionów zł.

RYS. MGR INŻ. BOLESŁAW KARDASZEWSKI





EDWARD SZUSTER

Osada za cmentarzem

W dni pogodne, wówczas kiedy na plażę wylegają tylko wytrwali, ulica ta — raczej droga niż ulica — jest jedną z popularniejszych tras spacerowych. Nic dziwnego: biegnie już poza osiedlem wijąc się między licznymi zapadlinami i wzniesieniami poprzez uroczy las mieszany, w którym króluje czerwieniejąca jagodami jarzębina. Przez niewysoki żywopłot widzę przechadzających się wczasowiczów. Opodal, na amfiteatralnie wdrażającej się w ziemię kotlinie wychowawczynie zorganizowała próbę występu artystycznego swych podopiecznych; kilkanaście dziewczynek stoi półkolem otaczając solistkę, która cieniem głosikiem śpiewa „Miliony aut zbudziły nas za wcześnie”. Za chwilę niezbyt zgrany chór jedenastoletków stwierdza że: „nie dla nas sezamy ulic...”

Przy wstępie tej piosenki, która dziś wieczorem usłyszeć chyba będzie można na ognisku kolonii, krążyć po niewielkim cmentarzu położonym przy owej ustrojonej drodze. Cmentarz nie jest zatoczony i mieści się na nim raptem około czterdziestu możliwych do zidentyfikowania mogił; na innych napisy albo są już nieczytelne albo wręcz zniknęły wraz z krzyżami czy płytami nagrobnymi. Najstarszy z zachowanych napisów nosi datę z roku 1931 umieszczony jest przy nazwisku: Modersitzki.

W roku 1932 pochowany tu został Druud, w 1934 — Wellm, a w 1936 — Schilling. Nazwiska: Berndt i Sperling z domu Blank wyrzyte są na płytach pochódzających z roku 1938. Z 1940 pochodzi groby z nazwiskami: Bausch (Gefreiter, Frontkämpfer), Wellm i Schreibe, a rok następny — 1940 — przypominają płyty z nazwiskami: Schulz-Hohenhaus z domu Lucke, Voss z domu Blank, Modersitzki (Feld'ebel, in Leningrad) Voss (Bosmanmat, an Bord des Schlachtschiffes Bismarck in Atlantik). Daty z roku 1943 widnieją na tablicach oznaczonych nazwiskami: Dhunke, Wellm z domu Bandede, Modersitzki (ein Opfer des Bombenterrors auf Hamburg); Sperling i Winterfeld (beim Angriff in Wasmünde) — te nazwiska przypominają rok 1944. Następnymi cztermi latami nie zostały na tym cmentarzu żadne trwałsze znaki. Solidnie wykonane kamienne nagrobki, opatrzone dyskretnie ukrytą tabliczką firmy kamieniarskiej w Elbing, nie pojawiają się już więcej. Nie pojawia się także żadne ze spotkanych dotychczas nazwisk; na ich miejsce przychodzą inne. Na poczemiałym od deszczu drewnianym krzyżu przybita jest blaszana tabliczka; odczytuje ją z trudem, bo napis jest już niewyraźny, zatarty: Bentkowska (?), rok 1949 (?). Nazwisko Markowski widnieje na niezłe zachowanej mogile z 1949 roku. Z lat następnych pochodzą inne nazwiska: 1950 — Bukowska, 1951 — Chojnacki, Stowikowski, 1954 — Ramotowska, Chimicz, 1956 — Chmielewski, 1957 — Lopuski, Sypiański, Murawska, 1958 — Lew, Gancarz, Murawski, Wysocki, 1959 — Malkowski, 1960 — Nowakowska, Piotrowska, 1961 — Jurewicz, Kralowska, Sypiański (śmierć tragiczną w falach morza) 1962 — Kistela, Świerżawska, 1963 — Piotrowski, Zaboklicka.

Gdy wychodzę z cmentarza na drogę, próba wieczornego występu trwa wciąż jeszcze na zbrozu kotliny. Dziewczynki nadal stoją regularnym półkolem i pośpiewują już bez werwy „gdy siebie mamy dla nas jest cały świat”. Idę po wyłożonej dykami drodze mijając i wyprzedzając spacerujących ludzi, pochłoniętych swoimi rozmowami lub swoimi milczeniami wśród jarzębin, sosn, buków i olszyn. Przypomina mi się, że jeden z moich znajomych „większymi archiwami” nazywa wiejskie

cmentarze i myślę, że jest to bardzo trafne określenie. W każdym razie ten, który obejrzał przed chwilą wiele powieści o historii ostatniego trzydziestolecia swej osady. O roku 1945, tym nieobecny na nagrobkach roku, mówi droga po której idę. Nosi ona nazwę „Ulicy Przyjaźni Polsko-Radzieckiej” a zbudowały ją, właśnie w 1945 roku, wojska radzieckie idące mierzejąc poprzez umocnienia hitlerowskie. Jeszcze dzisiaj po obu stronach drogi widać ślady okopów, rowów dolegowych, stanowisk karabinów maszynowych i bunkrów krytych stropami z pni sosnowych. Rośnie na tym wszystkim jarzębina, sosna, ośka i buk. A po drodze chodzą i wczasowicze i ci, którzy swoich najbliższych odwiedzają na cmentarzu — stali mieszkańcy Krynicy Morskiej. W lecie stanowią oni zdecydowaną mniejszość przebywających tu ludzi.

II.

Kiedy umówionego dnia przychodzi na parę minut przed dziesiątą do przystani rybackiej na Zalewie — nie zastaje nikogo. Nie mam przesadnego wyobrażenia o punktualności z jaką rozpoczynają się u nas zebrania i narady, sądziłem jednak, że skoro odprawa została naznaczona na 10, to choć kilku członków spółdzielni powinno się tu już kręcić. Dopiero magazynier wyjaśnia mi, że powinienem iść do Bazy nad otwartym morzem i odprowadzić mnie nieco we właściwą stronę. Po drodze uprzedza, że na odprawie na pewno mówić się będzie o „przeciekach” i przypisywać tym „przeciekom” dużą rolę w niewykonaniu planów przez spółdzielnię. Mówi jednak abym nie traktował tej sprawy poważnie, bo ona na to nie zasługuje, a poza tym z „przeciekami” rady sobie dać nie można, gdyż są przyjętym zwyczajem i rybaków i wczasowiczów.

Wędrując z przystani nad Zalewem do Bazy na morzu przypomniałem sobie jak to owe „przeciaki” wyglądały. Widziałem już kilkakrotnie, jak wokół każdej wracającej z połowu łodzi zbiera się spora gromadka wyciekających na ten moment wczasowiczów, którzy na wypródkę ubiegają się o kupno świeżo wylowionych ryb. Część połowu rybacy sprzedają od ręki — resztę ładują w skrzynki i oddają do magazynu spółdzielni, gdzie następuje ważenie, zapisywanie i cała procedura mająca na celu dokumentację osiągnięć produkcyjnych załogi. Niewątpliwie owe handlowe transakcje z wczasowiczami przy łodzi sprawują, że część połowu wynika się ewidencji spółdzielni i dochód z niej trafia bezpośrednio do kieszeni rybaków. Czyżby owa część mogła poważnie zaważyć na wykonaniu czy niewykonaniu planów spółdzielni? Nie wydaje mi się to prawdopodobne, ale widocznie tak być musi. Gdyby „przeciaki” nikomu nie wadziły Centrala Rybna nie uruchamiałaby chyba specjalnego kiosku, w którym co rano można nabyć świeże ryby. Inna rzecz, że mimo owego kiosku handel przy łodziach kwitnie w najłosiej i uchodzi wśród wczasowiczów za coś znacznie atrakcyjniejszego niż zwykłe kupowanie w sklepie. (Prawdę mówiąc — wcale się temu nie dziwię).

W bazie dowiedziałem się, że odprawa ma się odbyć o 11, śladami więc ja wydmie i czekam. Kilku członków spółdzielni czeka także — są to przeważnie ludzie młodzi zabijający nudę oczekiwania żartami, wśród których słowo „przeciaki” powtarza się od czasu do czasu. Na plaży, wokół łodzi, która przed chwilą wróciła z połowu odbywa się normalny targ, a nabywcy ryb oprowadzają je zaraz i płuczą w morskiej wodzie z widocznym ukontentowaniem. Jeden z rybaków pokrzykuje z plaży do kogoś ukrytego w oszklonej budce na wydmie; zaraz potem po pochylni zjeżdża na dół po szynach wózek uwiązany na stalowej linie, a wkrótce potem ta sama linia wlewa na wysoki brzeg tenże sam wózek obciążony skrzynką wyladowaną flakami. Za kilkanaście minut przy pomocy tegoż wyciągu zostaje wyciągnięta z wody na plażę łódź wracająca z morza. I ją otacza zaraz tłumek amatorów ryb „prosto od krowy”.

Odprawa zaczyna się o 12 i — trzeba to

przynać, nie trwa zbyt długo. Prowadzi ją spreżyście prezes spółdzielni, który przyjechał z Tokklicka, gdyż tam ma swoją siedzibę Spółdzielnia Pracy Rybołówstwa Morskiego „Pokój”. W pierwszym półroczu br. spółdzielnia osiągnęła 5.100.000 złotych zysku podczas gdy planowała w tym okresie tylko 4.574.000 zł. Plan połowów przekroczony został o 32 tony i może dlatego o żadnych „przeciekach” — wbrew przewidywaniom magazyniera z Zalewu — nie się na odprawie nie mówi. Może zresztą ten temat omówiony został gdzieś na boku, bez mojego udziału — nie wchodzi w te taktyczne subtelności spółdzielni tam bardziej, że walka z „przeciekami” wydaje mi się niecelowa i beznadziejna ze względu na żywiołowe zainteresowanie wczasowiczów owym nadbrzeżnym handlem prosto z łodzi.

Siedzę wraz z innymi uczestnikami odprawy na drewnianym skrzynce i słucham prezesa uważnie. Nie znam się na sprawach rybackich — nawet na wędkarskich się nie znam — i dlatego co chwila notuję sobie „na potem” mniej czy więcej inteligentne pytania. „Dlaczego obserwuje się od kilku lat spadek połowów dorsza?” „Roczny plan połowu lososia wykonano w ciągu półroczu; czy to błąd w planowaniu?” „Czy węgorez w Zalewie długo chorował będą na rumieniec, która dyskwalifikuje je z eksportu?” „Czemu w tym samym czasie jedna z załóg wylowiła 100 000 kg ryby, a inna tylko 17 000?” „Jakie frotki pozwoliły na podniesienie — wbrew niedawnym obawom — stanu zarzybenia Zalewu?” „Na czym polega ułatwienie w pracy w okresie zimowym, jakie przyniosł zainstalowany przed dwoma laty wyciąg?” Takie i inne pytania mnożą się w moim notiesie a w miarę ich przybywania zaczyna ogarniać mnie obawa, że bez głębszych studiów nie dam sobie z nimi rady. Jednocześnie przysłuchując się rozmowie przewodniczącego z członkami spółdzielni mam niewyraźne wrażenie, że coś tu jest nie w porządku. Czegoś mi w tej rozmowie brak ale nie mogę uświadomić sobie o co mi chodzi. Z irytującym uczuciem poszukiwania niesprecyzowanego tropu wysłuchuję informacji prezesa o zasadach jakie regulować będą remonty kapitalne i zakupy nowych łodzi i silników w roku przyszłym i dopiero wówczas gdy zaczyna się mówić o kursie przygotowywanym do egzaminu na starszego rybaka — pojmuję co mnie niepokoi. To przecież tych kilkunastu mężczyzn rozmawia z sobą językiem w którym nie słyszę nawet cienia dialektu czy akcentu zapamiętanego z pobytu na helskiej wsi w latach międzywojennych. Fachowa rozmowa o sprawach rybackich toczy się w zwyczajnej, poprawnej polszczyźnie jakiej nie słyszałem przed laty u Kaszubów. Czyżby więc rybacy kaszubscy w tym pokoleniu zapomnieli już swego dialektu? A może pojawił się w Polsce rybakowie z wojny? Czyżby więc rybacy kaszubscy z prawdziwego zdarzenia, którzy z Kaszubami nie mają nic — poza zawodem — wspólnego? Z zainteresowaniem przyglądam się członkom spółdzielni obradującym o swoich sprawach i próbuję domyślić się kim są, skąd przybyli ci ludzie, którzy od 1949 roku składają swoich zmarłych na małym cmentarzu przy ulicy Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Pochłonięty tymi domysłami zaprzestaje mnożenia w notiesie specjalistycznych pytań na tematy rybackie. Już tylko z obowiązku dziennikarskiego i na prośbę prezesa spółdzielni notuję — pod adresem dyrektora Puckich Zakładów Mechanicznych — uwagę, że pompki do motorów produkowanych przez te Zakłady nawalają na morzu i że warto by się tą sprawą zainteresować.

III.

Idę grzbietem niewysokiego wału biegnącego wzdłuż Zalewu. Po prawej ręce, za szeregiem wierzbi szumi gasecz, wysokiej trzciny porastającej brzeg Zalewu, po lewej leży stumetrowy — mniej więcej — pas uprawnego pola, a za nim, równoległe do wału, ciągną się wzdłuż szosy zabudowania wsi — kilkunastu przeszło szereg domów krytych czerwonymi dachówkami. Jeszcze dalej, za tą długą, nieregularną uliczką — porośniętą lasem garb, a za nim niewidoczne już stąd — plaża i brzeg morski.

Nie znam dokładnej liczby stałych mieszkańców Krynicy Morskiej, tych, którzy zostają w tej miejscowości wówczas gdy odpływa z niej kilkunastotysięczna rzesza wczasowiczów przebywających tu „w sezonie”. Myślę, że liczba ta nie przekracza półtora tysiąca, że tylu — mniej więcej — ludzi na trwale związało swe życie z tym rojnym w lecie, a cichym jesienią, zimą i wiosną osiedlem. Co robią, czym zajmują się, z czego żyją wówczas, gdy ani wynajem pokoi, ani obsługiwane przyjezdnych nie wchodzi w grę, to znaczy przez osiem miesięcy w roku? Nietrudno znaleźć odpowiedź na to pytanie podczas spaceru po wale ochraniającym od strony Zalewu ziemie uprawne Krynicy. Po pierwsze — mało ich jest, tych ziem, najwyżej kilkanaście hektarów; po drugie — ich stan (całe kępy chwastów, liczne lisylny ugorów) wymownie wskazuje na to, że rolnictwo nie jest pasją tutejszych mieszkańców. Ale całe dziesiątki metrów sieci rybackich suszących się wzdłuż wału mówią o tym, że terenem pracy tych ludzi są przede wszystkim Zalew i Morze, że mieszają tu rybacy. Mieszają i żyją — a w każdym razie mogą żyć całkiem niezle. Podczas południowej odprawy usłyszałem, że załoga jednej z łodzi otrzymała za półroczny połow 69 000 zł (załoga to 2 lub 3 rybaków), a po odprawie jeden z rybaków odwoził mnie na kwatery własnym moskwiczem.

A więc dziś rybacy. A wczoraj, w tych latach kiedy na cmentarzu przy ulicy Przyjaźni Polsko-Radzieckiej powstały pierwsze groby z polskimi nazwiskami? Skąd wzięli się, skąd przybyli ci dzisiejsi rybacy? Wśród ponad pięćdziesięciu zrzeszonych w spółdzielni „Pokój” mieszkańców Krynicy tylko jeden, ten który przybył tu z Pucka, wiedział co to jest rybactwo morskie; pozostali uczyli się tego zawodu, tego trybu życia od początku. Zaczęło się od kilku zdembilizowanych żołnierzy I Armii, mieszkańców ziem zabużańskich, którzy jako pierwsi Polacy przybyli w 1946 roku do Krynicy. O rybolowstwie mieli tyle pojęcia, ile mogli wynieść z rybaczenia po rzekach czy jeziorach w swoich rodzinnych stronach. Morza przez całe lata swej młodości nie widzieli, nie znali go; nie dziwne, że dwóch czy trzech utonęło przy pierwszym wyjściu. Ale po nich przybywali do Krynicy inni ludzie z całej Polski. Jakis zdembilizowany bosman marynarki wojennej ścigał tu swych kolegów, pojawiali się ludzie z Warszawy, z Poznańskiego, ze Śląska, z Podlaski — ze wszystkich stron Polski. W 1947 roku jeden warszawiak znalazł w piwnicy obranego przez siebie domu wyschnięte zwłoki podoficera Wehrmachtu, które leżały tam przez dwa lata. W tym samym mniej więcej czasie przybył z Białej Podlaskiej musiał do swojego domu wycinać ściętkę przez chwasty wybijając na półtora metra. Wtedy jednak była już w Krynicy Morskiej szkoła; powstała co prawda prawem kaduka, gdyż uczęszczało do niej tylko ośmioro dzieci, a że zarządzenia władz wymagały, by był ich co najmniej tuzin — nauczyciel popisywał do wykazu cztero- i pięciolatków. W 1949 powstała pierwsza spółdzielnia rybacka i zostały zorganizowane pierwsze domy Funduszu Wczasów Pracowniczych. W trzy lata później zakończył się ostatecznie pionierski okres nowego życia Krynicy — zbudowana została asfaltowa droga ze Stegny otwierająca łatwy dojazd do osiedla, które urzędnie komunikowało się ze światem przede wszystkim za pomocą kursujących po Zalewie statków.

Dochoże do rybackiej przystani na Zalewie. Dalej, w przystani pasażerskiej, widzę biały kadłub „Aldony”, statku, który pływa między Krynica, a Elblągiem. Za chwilę pewno zabuczy syrena i „Aldona” powoli odsunie się od moła. Na moło roi się różnobarwny tłumek wczasowiczów obserwujących codzienny ceremoniał odjazdu statku. W basenie przystani rybackiej stoi kilka łodzi. Na dwóch z nich kręca się rybacy, układają sieci, przeglądają motory. Pewno wypłyną wkrótce na Zalew łódź sandacza i leszcze lub owe chorujące na rumieniec węgorez. Poruszają się bez pośpiechu, pewnie. Jak ludzie, którzy doskonale znają swoją robotę, opanowali dokładnie wszystkie jej tajemnice



Emina — Iga Cembrzyńska

ZYGMUNT MACHWITZ

HISZPAŃSKIE notatki

— Pna na Madryt? No, to ja może razem. Tylko podrażać jeszcze parę cichów.

Za chwilę podskakujemy po wybojach traktu, do którego znakomicie pasuje określenie bezdroże. Wokół całe morze zieleni. Mój towarzysz podróży z lekką zagaduje: — A pan to skąd, a po co? A wie pan te stroje, to dla Cyba i dla Inkwizycji.

Obok mnie leży jakiś tużurek przystrojony srebrnym galonem ze złotymi guzami, z czerwonymi mankietami. Nieco dalej spoczywają buty z ogromnymi cholewami. Za nimi mnisi habity i plastikowe laryce z krzyżami.

Wreszcie dojeżdżamy. Spozza muru zieleni wylaniają się dachy miasta. Wkrótce jawi się nam przed oczami piękny widok. Oto na wzniesieniu rozciąga się cudny zabytkowy gród. Objęliśmy go wokół i zatrzymaliśmy się pod bramą. Wielu tu zabieganych ludzi, jakiegoś namioty. Mijam żułki, plac i u wylotu ulicy dostrzegam kościół. Tu przed wysokim portalem stoi garstka żebraków. Poprzebierani są w lachmany, w jakiejś ubiorze sporządzone z worków. Są natrętni, głośno domagają się jałmużny.

Za sobą słyszę szmery rozmów. Obracam się i widzę zwarty tłum ludzi. Wszyscy są w dawnych strojach — żaboty, tużurki, krynoliny. Domyśliam się, że są to statysci nie biorący udziału w aktualnie reali-

zowanej scenie. Znajduję się bowiem w dekoracji do filmu „Rekopolis znaleziony w Saragoście”. Określenie „na Madryt” znacząco rzecz jasna tyle samo co „na plan”, a kostium dla Cyba jest po prostu przeznaczony dla pana, którego pełne nazwisko brzmi Cybulski. Kreuje on tu główną rolę kawalera Van Wordena.

— Te panie w czerni — objaśnia mi ktoś z filmowej ekipy — to Frasqueta i jej przyjaciółka. Frasqueta gra Elżbieta Czyżewska. Będzie to żywiołowa, bardzo zalotna dziewczyna. Mąż podejrzewa ją o zdradę, udaje się do tzw. Żułki Złocystych i wynajmuje człowieka do śledzenia polowicy. Jednakże Cygan Avadoro odstępnie od pierwotnych zamiarów i postanawia pomagać pięknej pani. Właśnie w tej scenie przed kościołem podnoszą niby to zgubioną przez nią rękawiczkę. Znajduję się w niej list do kochanka.

Avadoro. Ogromnie romantyczne przezwisko. Nasz bohater ma na sobie skózaną kurtkę, spozza rozpiętej koszuli widać wielki krzyż. Po chwili rozpoznaje w nim dobrze znanego lodzianom z desek scenicznych Teatru Powszechnego Leona Niemczyka. Dowiaduję się też, że rolę męża kreuje Jan Machulski, również ceniony w naszym mieście aktor Teatru Nowego.

Owa opowieść o małżeńskim zdradzie jest tylko jednym z licznych

opowiadań, z których składa się film. Fabuła bowiem ma charakter szufladkowy — opowiadanie wynika z poprzedniego i poprzedza następne. Całość łączą fantastyczne przygody śmiesznego amanta, jakim jest postać Van Wordena. Ich pierwsza część jest już gotowa. Zrealizowano ją w pienerze, wśród szkolek Jury Krakowsko-Częstochowskiej, przypominającej swym wyglądem krajobraz Poludnia. Jej akcja rozgrywa się w XVIII-wiecznej Hiszpanii. Nasz bohater przybywa do karczmy w miejscowości Venta Quemada. Czasy są niespokojne. Przez kraj przetaczają się stale obce wojska pretendentów do tronu. Nie dziwią więc napotykanie po drodze szubienice. Jedną z nich znajduje się nawet w pobliżu gospody. W oberży poznaje Van Worden dwie dziewczyny, Emina (Iga Cembrzyńska) i Zibelde (Joanna Jędrzyka), romantyczne mauretańskie piękności, jakich postacię z pół jawy pół snu. Po każdej spędzonej w ich towarzystwie nocy budzi się bohater pod szubienicą z kołyszającymi się nad nim postaciami wisielców. Próbuje się więc uwolnić od tych dziewcząt, lecz wciąż ścigają go ich głosy. Wreszcie sprawę nasświetla spotkanie przypadkiem Kabalista (Adam Pawlikowski):

„...Rozróżniamy upiory węgierskie i polskie, które są po prostu trupami wychodzącymi z grobów dla wysysania krwi ludzkiej, i hiszpańskie, które wchodząc w pierwsze lepsze ciało nadają mu dowolny kształt...”

W zamku Kabalisty zgromadziło się dość spore towarzystwo. Wieczorami snuje się opowieści. Większość z nich rozgrywa się w Madrycie i one właśnie wypełniają obecnie realizowaną drugą serię filmu. Dlatego też kręci się ją w dekoracji wyobrażającej fragmenty dawnego Madrytu. Wzniesiono je na powierzchni 2.400 m² w okolicach Wrocławia. Stary hiszpański gród odtworzono zgodnie z klimatem epoki, dbając pieczołowicie o wierność szczegółów panujących wówczas stylów zabudowy.

A oto reżyser obrazu, Wojciech Haś, Mam więc okazję do zadania paru pytań. Dowiaduję się, że od dawna myślał on o adaptacji powieści Potockiego. Dlaczego? Po prostu dlatego, że jest to znakomity utwór, no i pozycja w literaturze europejskiej. Ekranizuje on dzieło literackie, więc za rzecz podstawową uważa zachowanie intencji, też ducha wytworu romantycznej myśli z początków ubiegłego stulecia. Będzie to film o fabule przygodowej, lecz o klimacie pełnym poezji, no i z niemłą dozą dowcipu, nawet dość ostrej ironii. Ze względu na warstwę poetycką i liczne podteksty będzie to rzecz z gatunku opowiadań filozoficznych. Chodzić zaś w niej będzie o sprawy proste, lecz wciąż aktualne i bliższe odbiorcy. Pokróćce wyliczając będą to takie rzeczy jak zawiść, zdrada, chciwość, kłamstwo, obłuda, miłość, romans, przygoda itp.

Za parę minut zdjęcia do następnej sceny. Przenoszę się więc pod renesansowe kolumny podcieni. Wokół śliczne stare kamieniczki stanowiące mieszaninę różnych prądów — odrodzenia, gotyku, wpływów mauretańskich. Wszędzie jakieś małe balkoniki zastawione kwiatami, pełno tu krążanków, wykuszy, ozdób nad oknami i portalami. Uliczka, tak wąziutka że można by swobodnie rozmawiać z okien przeciwległych domów, po schodach i tarasach prowadzi do kościoła. A bezpośrednio przede mną Plac Słońca, mmo poetyckiej nazwy teren wyraża nie lergowy. Wszędzie tu szum, rozgardiasz. Pod ścianami domów leżą wielkie gliniane stągwie. Wzdłuż obwieszonych i obladowanych straganów przechadzają się przekupnie i klienci. Wokół pełno wędlin, owo-

ców, pieczywa, są dzbany, talerze, olbrzymie gromnice. Dostrzegam też przedmioty zupełnie dla nas egzotyczne jak bukłaki na wino i wodę z baranej skóry, takie do noszenia na plecach, dalej kozuchy do zakładania wełną na wierzch jako obronę przed słońcem, to znów ochraniacze na głowy zwierząt ciągnących arby sporządzone ze zwijanych sznurów. Przy tym wszystkie te przedmioty są naturalne, do imitacji zrobionych z masy papierowej należą tylko „świeże ryby” i wielgachne szynki.

Filmowana scena jest powtarzana kilkakrotnie. Ruch kilkunastu aktorów i kilkudziesięciu statystów musi być absolutnie precyzyjny. Głośno przez megafon padają dyspozycje. Brzmia nad placem słowa: „Osiołek! Ryby! Księża!” Kolejno z tłumy statystów wylaniają się przed kamerą jeździec na osiołku i przekupka z rybami, po schodach idą księża. Wreszcie pojawia się Frasqueta. Wracła właśnie z kościoła. Z oddali śledzi ją mąż, a z gospody wychodzi Avadoro niosący właśnie bilecik dla kochanka.

W przerwach, na prawo i lewo wypytuję filmowców o najprzeróżniejsze sprawy. Wreszcie przechodzimy do napotkanych trudności. Tych jest tu co niemiara. Ostatecznie przecież tak duże jak na nasze warunki przedsięwzięcie filmowe nie mogło ich nie dostarczyć.

Sporo na przykład kłopotów było ze sceną wjazdu Cyganów. Znakiem byłoby pokazać tabor na wielkiej przestrzeni z perspektywą wzgórz na horyzoncie, lecz miała to być scena nocna a w ciemności zacierają się przeciwie kontury. Realizowano więc ją w pełnym świetle dnia, a użycie odpowiednich filtrów ma dać efekty zupełnie przypominające noc.

Dość trudności sprawiły w tej scenie konie, które stale płoszył blask wielkich pochodni trzymany przez Cyganów. Zresztą w ogóle ze zwierzętami kłopotów ekipa mia-

ła co niemiara. Dość wspomnieć, że oprócz mnóstwa koni grał tu jeszcze prawie cały zoológ, bo występowały i stada baranów, i osły, i muły ciągnące arby, sepy, szczyry, psy, koty, małpy, gołębie, węże. Tych ostatnich zakupiono około 20, a mimo to nie można było kręcić, gdyż wypuszczone na wolność błyskawicznie znikły w pierwszych lepszych szczelinach. W końcu wpadli filmowcy na pomysł idealnie rozwiązujący problem. Posklejano gady po dwoje ogonami. Z o-wymi dwugłowymi stworami zdjęcia potoczyły się już bez przeszkód.

Najwięcej jednak kłopotów przysporzył chyba aktorzy. Ostatecznie ważniejszych postaci jest tu około 100, tzw. aktorodniówek ponad 1.300. Wszyscy oni grają w różnych teatrach całego kraju, są więc stale zajęci. Teżeba było niezamężnego trudu, żeby odpowiednio zsynchronizować ich wspólny udział w pracy na planie zdjęciowym. Czasem zdarzało się rozwiązać trudności w sposób bardzo pomyslny. Tak na przykład Bogumił Kobiela grający rolę kochanka Frasquetę mógł poświęcić dla „Saragossy” tylko kilka dni czasu, gdyż wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych. Na tempo więc realizowano sceny z jego udziałem. No, i po skończeniu ostatniej z nich, w jakiejś 15 minut po odjeździe aktora z „Madrytu” rozpoczęła się ulewa, która po paru godzinach przesała w kilkudniową mżawkę zupełnie uniemożliwiającą zdjęcia.

Niestety i ja już muszę odjeżdżać. Calkiem się zachmurzyło. Polska aura niezupełnie jednak przypomina niebo Poludnia. Zresztą i aktorzy też powoli w swoich kolorowych kostiumach wsiadają do samochodów, które zawiozą ich do atelier.

Znowu skacze więc wóz po dziurach „madryckiego traktu”, zaiste przypominającego chyba XVIII-wieczne drogi. Bywaj Hiszpanio! Do zobaczenia na ekranie! Kiedy? Chyba w pierwszym kwartale przyszłego roku.



Frasqueta — Elżbieta Czyżewska



PREZENTACJA PISARZY JUGOSŁAWII

Po wydanej przed kilku laty „Antologii poezji jugosłowiańskiej”, otrzymaliśmy obecnie antologię noweli (*). Zawiera ona wybór utworów od połowy ubiegłego stulecia doprowadzony do czasów obecnych. Tak więc antologia noweli jugosłowiańskiej prezentuje to, co w nowej literaturze jugosłowiańskiej wytrzymało próbę czasu i stanowi trwa-

łe wartości narodowe. Książka zapoznaje czytelnika polskiego z utworami trzydziestu trzech pisarzy, wśród których znajdują się takie nazwiska, jak z dawnych: Ivan Cankar, a z żyjących: Miroslaw Krleža, laureat nagrody Nobla, Ivo Andrić. Jeżeli chodzi o pisarzy współczesnych, dominuje u nich tematyka partyzancka.

Wyboru opowiadań dokonali i książkę wstępem opatrzył znawca literatury serbo-chorwackiej, Bronisław Ciřlić. Jego przedmowa, choć zwięzła, doskonale wprowadza w historię i istotę literatury jugosłowiańskiej, dając ogólną orientację prądów i kierunków na przestrzeni stulecia.

Cennym uzupełnieniem antologii są noty o autorach, zawierające dane bio- i bibliograficzne. Chociaż „Antologia noweli jugosłowiańskiej” jest książką bardzo cenną i potrzebną, wydaje się, że można by podyskutować na temat dokonanego wyboru. Żeby nie

być gołosłownym: w antologii brak w ogóle nazwiska Mladen Oljača. Ten młody (a właściwie już średniego pokolenia) pisarz, jest autorem, ośmielił się powiedzieć, genialnej noweli pt. „O mojej matce”. I właśnie tego utworu nie uwzględniono w antologii. Dziwić się temu należy tym więcej, że nowela Oljača „O mojej matce”, była drukowana w swoim czasie na łamach „Przeglądu Kulturalnego” w tłumaczeniu Marii Krukowskiej, J. K.

*) Antologia noweli jugosłowiańskiej, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Bronisław Ciřlić, „Czytelnik”, Warszawa 1964.

WAKACJE

Tytuł zapowiada książkę o poemacie rozrywkowym, relaksu. Wreszcie potęguje zielonożółtawą okładką z narysowaną u góry łodzią. Ale po przeczytaniu książki widzimy, że to metafora; nie cho-

dzi tu o zwyczajne wakacje — lecz o „wakacje” od odpowiedzialności moralnej, o rozgrzeszenie się we własnym sumieniu w imię odpoczniku i szukania wrażeń urlopowych po ciężkiej zresztą pracy, którą bohater wykonuje nie o dzień. „Wakacje” to niebanalna powieść psychologiczna. Czyta się ją z dużym zainteresowaniem, ze względu na dojrzałość i prostotę stylu tej prózy. Nieco gorzej jest z konstrukcją. Rzecz zaczyna się od wakacji, które autor spędza w towarzystwie kolegów na jeziorach w domu swego ojca. Wszystko to jednak nie ma bezpośredniego związku z tym, co w powieści najistotniejsze. Zastanawiamy się, czy nie chodziło tu o porównanie tych wakacji rzeczywistych w sensie wypoczynkowym z tymi, które bohater spędza w towarzystwie ukochanej. Jeśli tak rzecz ma, to pomysł niezbyt udany, bo autor nie uczynił nic, co mogłoby nas na tę myśl naprowadzić.

Tak więc pierwszych kilka małych rozdziałów zdaje się być sztucznie doceplonych do tego, co w powieści interesuje najbardziej.

No i mamy pretensje do Wydawnictwa, że nie dało choćby krótkiej noty o autorze, z której moglibyśmy dowiedzieć się czegoś o nim.

J. H. W.

Juliusz Serkies „Wakacje”, Ossolineum, Wrocław 1964 r., str. 133, cena 12 zł.

NIE „WSZYSTKO INACZEJ”

Literatura okresu schematyzmu miała określony krąg tematów. Na szczęście mamy tamten okres dawno poza sobą, ale pozostały uprzedzenia teologiczne. Uprzedzenia te odnoszą się, niestety, także do tematyki, która podejmowała schematyzm.

Władysław Machajek po dejmując się trudnego zadania obrony tej tematyki przez nich zdewaluowanej, ukazując nam sy-

tuaże i ludzi nie przylegających w żaden sposób do schematów, jakie sobie niedawno wymyślono w zaciszu gabinetów literackich. Tzw. teren pod piórem Machajka, jego sprawy i ludzie — to wszystko jest autentyczne, niewymyślone, prawdziwe. Szkoda tylko, że opowiadaniem Machajka brak tych zabiegów pisarskich, które by sidiwały nas do refleksji po przeczytaniu jego opowiadań. Czytelnik może się jednak dowiedzieć z nich o wielu sprawach, których nie zna. Dodajmy — miejscami soczysta i barwna proza Machajka — urzeka, czasem pobudza do śmiechu, bo Machajek nie jest ponurakiem i operuje znakomicie groteską. Szkoda, że całość nie jest na tyle jednolita i zwarta — byśmy mogli książkę polecić bez zastrzeżeń.

JHW

Władysław Machajek, „Wszystko inaczej”, Wyd. Literackie, Kraków, 1964, cena 20 zł. Str. 232.

WERSZE *mlodych* POETÓW

ANDRZEJ BISKUPSKI

Studium piąte

to co staje się w nas
nie tłumaczy się na żaden język
jest to krzyk w przebudzeniu i nie w słowach
jeszcze

tam mówi się słowem które nie istnieje
tam więc rozmowy ważne
i tam mój początek

przebudzenie jest jakby stąpieniem koniecznym
ale też miejscem powstawania krzyku

co prawdziwe we mnie
nie staje się w słowach ani w milczeniu
a jednak stawać się znaczy oczekiwać



EXLIBRIS
DR STANISŁAW
AULICH

KRYSTYNA WISNIEWSKA

Przebacz ugorom

Te spustoszenia
które we mnie

ściernisko po zżętych różach

gdzie już nic nie może się urodzić

skąd odeszli ludzie
obladowani
koszami gorących liści

i ścieżki
spod ich kroków cofnęły się
bez żalu

Te spustoszenia
w których tylko śmiech ciągle rośnie
dziś krzewem ostu

przebacz ugorom



JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Ten co powraca

Ten co powraca do Przeszłości
aby kobietę wierną spotkać
czemu prowadzi psa na smyczy
dlaczego czujny pies ujada

Czemu powraca ten co odszedł
zlekceważony więc samotny
trzymając stary uśmiech w ustach
wszak dobrze wie że nie powróci

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Jeszcze jesteś piękna jeszcze jesteś młoda
i obcasy twoje stukają ogromnie
czasem wchodzisz do mnie po drewnianych schodach
i nie możesz jakoś nigdy trafić do mnie

a przecież istniejesz przede mną i w sobie
każdym skrzętem nerwu jak istota żywa
widzę cię przez ścianę; zamysłony człowiek
rzeką krwi przez pamięć w ciepły płacz odpływa

JERZY JARMOŁOWSKI

Tryptyk z tobą i ziemią

I

komu dziewczynę
a w niej żądło pszczoły
i trawy zapalone
aż ci język syczy
ziemia pod nią miękka
faldami spódnicy
komu dziewczynę

gluchoniemą

II

nocą przychodzą do mnie
stare kobiety
śnieg na nich rozwieszony
suknią ślubną
kora ich w zimy porośnięta
na ramionach pęka
gdą naszyjnik z różańców
przymierzają w lustrze
nocą przychodzą do mnie
stare kobiety
na miarę człowieka
nieładzko ludzkie

III

najlepsze są ręce nad ranem
gdą odwijają ziemię
ciało wyrośnięte
świeże
bochen chleba naszego
działą sprawiedliwie
nożem
plugiem
pazurem
najlepsze są ręce nad ranem
ledwo z kobiet zdjęte



FELIKS RAJCZAK

Coraz cichsi doskonalsi
Opuszczamy lessy wzgórz
zstępując nad obłe brzegi
martwych wód

Suchą stopą przepływamy
ona — i łowiąc tetent ryb
załepiamy uszy ilet
białych wysp



KRYSTYNA WISNIEWSKA

To właśnie przyszło lato
uwikłane w zbożu
z bławatkami

zamiast serca

Jak chciały ptaki
o smukłych białych skrzydłach

Bociani klucz
rzucony za morze
bez pieśni z płonących powrotów
znów pod strzechami

Zbiegły się drogi przyniesione
ze światła
w małym otworze gniazda

w ciszy



ANDRZEJ BISKUPSKI

Studium pierwsze

jeśli nawarstwianie stwarza wielo-
listność

ciche nakładanie krzyku
jeśli jest pusto i wszystko inne
wszystko poza pustką

jeśli więc gęsto wypełniona prze-
strzeń

że trudno istnieć poza sobą
to tylko w sobie zamierzonym



JANUSZ DUNIN

X MIĘDZYNARODOWY KONGRES EKSLIBRYSU W KRAKOWIE

W powodzi kongresów i zjazdów przeszedł prawie nie zauważony X Międzynarodowy Kongres Ekslibrysu w Krakowie. Prasa krakowska w lakonicznych notatkach donosiła o tym, że przyjechało do Polski około 70 gości zagranicznych, m. in. ze Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, że w murach 600-letniej uczelni jagiellońskiej prorektor UJ prof. dr K. Wyka udekorował zasłużonych dla ruchu ekslibrysowego Włochów G. Mantero i S. Bono „Odznakami Białego Kruka”. W dniach 11—13 września odbyło się w murach Krakowa pięć óznych wystaw ekslibrysowych starych i najnowszych. Na zakończenie kongresu uczestnicy zwiedzili w Jędrzejowie zbiory Państwowego Muzeum im. Przypkowskich, które posiada m. in. piękny zbiór ekslibrysowych gromadzony tu od 1912 roku. Ostatnim akordem kongresu był wspólny obiad-bankiet w kieleckiej restauracji „Jodłowa”, na którym ekslibryści zajadali prawdziwe staropolskie dania: Soupe à l'oignon, à la Przypkowski; Zrazy à la Radziwiłł, Semoule de sarrasin; Blanc-Mauger à la Sobieski itp.

W niektórych tygodnikach z nieocenionym „Przekrojem” na czele z okazji zjazdu pojawiły się krótkie informacje o tym co to jest ekslibris, który definiowano jako znak własnościowy książki, artystyczną nalepkę na książkę stanowiącą przedmiot zbieractwa. Ale trzeba przyznać, że te definicje, historycznie słuszne, nie oddają jednak w pełni obecnego stanu i tendencji ruchu ekslibrysowego.

Istnieje w zbieractwie ekslibrysowym „nurt naukowy”, który traktuje kolekcjonerstwo znaków na książki jako pomocniczą naukę do historii biblioteki czytelnictwa. Często skromna naklejka jest jedynym śladem po rozproszonym już księgozbiórze, jedynym dokumentem działalności zbieracza książek. Ale krakowski kongres był przede wszystkim zjazdem kolekcjonerów — hobbystów. Obok twórców, którzy poszukiwali tu kontaktu z odbiorcą, ton kongresowi nadawali wielcy zbieracze posiadający w swych zbiorach po kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy ekslibrysowych. W tym nieraz kilkaset, a w wypadku Włocha Mantero aż ponad 600 ekslibrysowych dla własnej biblioteki. W tym ujęciu ekslibris traci znaczenie jako wizytówka księgozbioru. Pojawiają się grafiki-kolosy, które nawet nie zmieściłyby się do żadnej książki. Wśród zbieraczy krąży złośliwa definicja, że książka to jakoby coś, co czasem bywa niepotrzebnie przyklejane do ekslibrysu. Współczesne zbieractwo znaków książkowych jest przede wszystkim kolekcjonerstwem pięknej grafiki. Urok tego kolekcjonerstwa polega właśnie na tym, że przeciętnie sytuowany obywatel może stać się mecenasem, kontrahentem w rozmowach z artystą, który wykonuje dzieło sztuki na jego prywatne zamówienie. (W Polsce np. można sprawić sobie wysokiej klasy ekslibris za około 1.000 złotych). To, że ekslibris jest przeważnie kompromisem między osobowością twórcy a zamilowaniami i marzeniami zamawiającego wyciska na nim swoiste piętno. Właściciel pragnie, aby w jego ekslibrysie było coś z jego osobowości i aspiracji. To powoduje, że grafika ekslibrysowa przy całej swej nowoczesności i skrótości, przepojona liryzmem i symboliką ustrzegła się w swej masie od niezrozumiałstwa.

Współczesny zbieracz przeznacza egzemplarze swego znaku książkowego przeważnie nie na nalepienie na książki, a na wymianę za inne znaki graficzne. W kolekcjonerstwie ekslibrysowym, tak jak w każdym zbieractwie, nie samo posiadanie jest celem. Poprzez posiadanie rzeczy następuje spotkanie ludzi o wspólnych zainteresowaniach. Zwykły urzędnik budapeszteński, posiadacz 14 tysięcy najszlachetniejszych ekslibrysowych, staje się przyjacielem zbieraczy i artystów z całego świata, koresponduje z około 400 osobami, a jego skromne mieszkanie jest miejscem częstych międzynarodowych spotkań. Krakowski kongres był właśnie areną takich spotkań, handlu i wymian. Ludzie z kilkunastu różnych krajów pochylali się wspólnie nad uroczymi, małymi druczkami i w tym tkwi sens tego typu spotkań.

Nie bez pewnej dumy musimy stwierdzić, że w rosnących szeregach miłośników ekslibrysu pozycja Polaków jest silna. Mamy czołówkę kilku świetnych grafików oraz sporą grupę zbieraczy, z których część jest zrzeszona w warszawskim Kole Miłośników Ekslibrysu. Zapoczątkowano też stałe biennale ekslibrysu współczesnego, które ma się odbywać co dwa lata w malborskim Muzeum. Również w naszym mieście ożywiło się ostatnio zainteresowanie ekslibrysem, wśród uczestników kongresu była 8-osobowa bardzo aktywna grupa łodzian. Artysta-grafik Teofil Józwiak przygotował na kongres tekę 10 międzyorytów. Te teki, wydana po bibliofilsku dzięki staraniom Łódzkiego Klubu Miłośników Książki oraz Doświadczalnej Pracowni Graficznej, wzbudziła na kongresie spore zainteresowanie.

W dziedzinie ekslibrysu Łódź ma już swoje tradycje. Zainteresowania artystycznym znakiem książkowym zaszczerpił tu przed wojną działacz kulturalny i bibliofil Przemysław Smolik. Oryginalnym twórcą w tej dziedzinie był Karol Hiller, który opublikował tu tekę swych ekslibrysowych. Po wojnie osiedlił się w Łodzi jeden z wybitnych twórców małej grafiki Ludwik Tyrowicz. Klub Miłośników Książki w Łodzi zamierza w najbliższym czasie przygotować wystawę ekslibrysu łódzkiego. Korzystając z tej tribuny prosimy wszystkich zainteresowanych posiadających ekslibrysy wykonane przez łódzkich grafików oraz dla łódzkich księgozbiórów i zbieraczy o skontaktowanie się z mgr Michałem Kuną w Bibliotece Uniwersyteckiej.

ELEKTRYCZNY PASTUCH

Nazwy niektórych miast i osiedli wprowadzone do literatury przez Żeromskiego żyją ciągle. Znam osobnika, który od wielu lat powtarza uparcie przy oknie kasy kolejowej: — „Proszę drugą klasę do Klerykowa”. I dopiero zdumione spojrzenie kasjerki skłania go do poprawki: „Mam na myśli Kielece, oczywiście. Ale to wszystko jedno”.

Sami kielczanie, zwłaszcza średnie i młode pokolenie dawno już zapomnieli (a może w ogóle nie słyszeli) o tym przydomku. Życie w mieście od wielu lat kształtują inne stosunki. Fabryki, instytucje kulturalne, szkoły nadają mu charakter nowoczesny. Miasto ogni urzędniczych i emerytów przekształciło się w ośrodek tężnicy ciekawym, twórczym życiem, ciekawym ton nadają niezliczone rzesze kształcącej się młodzieży.

A Obrzydówek? Jeszcze przed kilkoma laty, kiedy pytało się młodych lekarzy architektów, nauczycieli, czy zapuszczają korzenie w małych miasteczkach, czy czują się tam dobrze, odpowiadali bez wahania: „Jakie tam miasteczko! Zwyczajnie Obrzydówek. Posiedzi się rok, dwa i dalej w świat”. Ani im w głowie było uczestniczyć w życiu społecznym, ani przez myśl nie przeszło, aby wpłynąć na przeobrażenie stosunków, na kształtowanie się nowego życia. Pamiętam owego stomatologa, który dumny był z siebie, że w ciągu dwóch lat dorobił się limuzyny, wzdłużając ją znajomości łaciny, raczej jednego słowa łacińskiego. Pierwszej swojej pacjentce, wiedejskiej babie, zaproponował zamiast usznicia, „okst i a k e i g e z a b n”. Oczywiście babczka z dalekiego zaplecza nigdy, jako żywo, nie słyszała tego słowa. Stomatolog zażądał za „naukową ekstrakcję” poczwórny honorarium. Zabieg się udał. Później okoliczność do eskulapa jak w dym, placąc każdą kwotę, „był, panie doktorze, nie wyrywał, ino konieczność za pomocą tej ekstrakcji”.

Ale i o tych stomatologach już nie słyszała; i oni znikli. Znikają babki-znachorki, odczarze, zamawiają, chociaż nie tak szybko. Wróżby ciągle jeszcze nie brak, ciągle jeszcze przed ich „gabinetami” wyciekają sznury samochodów ze znakami rejestracyjnymi nie tylko Łodzi, Wrocławia czy Poznania, ale i stolicy również. A jakże!

Po tym przydumnym wstępie, chciałbym opowiedzieć o symbolicznej Wólcie kieleckiej, tej samej, przez którą ongi wędrował z Przygotów imię Jędrzej Radek, do szkół, do Klerykowa.

W jednej z owych autentycznych „zakazanej, przez Boga i ludzi zapomnianej Wólce” poznałem w 1945 r. starego Ciośka. Wydawał mi się stary, chociaż nie miał wówczas więcej niż czterdzieści lat, ale podawał „spisowym urzędnikom” więcej, przyznawał się nawet do pięćdziesięciu pięciu. Wszystkiego dlatego, aby go nie wciągnęto na listę osób podlegających obowiązkowej służbie Ciośki bowiem był analfabeta i jedyny zresztą w Wólcie, za nie chciał się uczyć. „Pastuch jestem — tłumaczył — po dziesięciu oborowy. A na co pastuchowi książka? Wydotę — wydoję, obmyć krowy też poradzę, mieszankę zadam za drabinki na czas. Po co więcej? Waszego i moiego czasu na te nauki szkoda”. Zwolniono go istotnie z obowiązku uczęszczania na kursy dla analfabetów. Ale Ciośka ma dzieci. Dużo. Dziewięć. Pragnie im zapewnić wykształcenie. Ma skromne wymagania: siedem klas. Dla Ciośka, który kilkanaście razy na przestrzeni swoich czterdziestu zim był w

gminie i tylko jeden jedyny raz pieszem w miasteczku powiatowym to szczyt marzeń. Ale dzieci są innego zdania. Rokrocznie toczy się w domu Ciośków zarządca spór. W kilku wypadkach jest to formalna walka, w której uczestniczą sędzią, cała niemal wieś. Ciośkom juniorom przychodzi w sukurs młodsze rodzeństwo. Albowiem Ciośkowie, obojętna na porady Koła Gospodyń Wiejskich w dziedzinie świadomego macierzyństwa, wciąż rodzi. Dom zaludnia się. W powiecie kursuje legenda o batalionie Ciośków. Przesada. Jest ich tylko piętnaścioro. Z tego dwoje umiera. Ale trzynastoro cieszy się doskonałym zdrowiem. W miejscowej tak zwanej „szkołce”, filii szkoły, roi się od Ciośków. Nauczycielka myli imiona. Rodzice zresztą również, zwłaszcza iż każde dziecko ma ich przynajmniej po dwa, nie rzadko trzy, a Ciośek nie uznaje żadnych zdrobnień. Mówi więc: Janina-Prakseda-Józefa, Stanisław-Zbigniew-Ryszard. Ludzie śmieją się, że zabrakło w kalendarzu imion. Cała rodzina kłóci się o sposobie, a później siedmioklasówkę w gromadzie, to jest w byłej gminie.

Dalej jak w wielu schematycznych opowieściach z gromady wędrowka do miasteczka, do miast, do techników, liceów, uniwersytetów, politechnik. W domu Ciośków można zastać latem, na wakacjach, przedstawicieli różnych zawodów i specjalności. Są elektrotechnicy, nauczyciele, agronomowie, jest lekarz, fizyk, historyk sztuki, kończą szkoły specjalistyczne geolog, zootechnik, pielęgniarz, muzyk.

Rokrocznie zjawia się u mnie Ciośek-senior, zasięga porady w sprawie dalszej nauki następnego dziecka, wygrybuje z nieznanymi mi źródeł specjalność, o jakich jako żywo nie słyszałem, wysłuchuje w milczeniu moich uwag i żegna się w milczeniu. Niekiedy pytam go ostrożnie: — Jak tam, kolego Ciośku, z waszymi osobistymi sprawami? Nie uczucie się? Chyba nieprzyjemnie przed dziećmi? — Wzrusza ramionami. Spiesz się do krow. Jest bowiem ciągle pastuchem gromadzkim. Za nie chce ani emerytury, ani, uchowaj Boże, zmiany zawodu.

W ostatnich miesiącach docierały do mnie jakiegoś niepokojące wieści. Ludzie, jak ludzie: zawsze skorzy do kpin z sąsiada. Opowiadano więc, że Ciośek zapadł na ciężką, nieuleczalną chorobę, że godzinami wyleguje się na łacie, że stał się mało mówny, a nawet niechętnie

szczyli się dziećmi, ich awansem.

Pojechałem do Wólki (w odróżnieniu od innych nie ma żadnych przydomków). Dużo nowych domów, krytych dachówką, blachą, eternitem. Kwiaty w ogródkach. Twarda nawierzchnia. Smółka. Spotykam znajomych, pytam o Ciośka. Wskazują za siebie, uśmiechają się, przytykają znacząco oko. — Gdzie ma być? Na pastwisku gromadzkim. — Wlokę się na to pastwisko. Z daleka słyszę porzykiwania. Wreszcie obrzymi teren pokryty gęstą, soczystą trawą. Dwieście, może trzysta krow, za ogrodzeniem. Ciośka ani śladu. Siadam, wyciągam bułkę, żuję, rozglądam się dookoła. — Ale wycofałem się swoje krowy Ciośek — myślę z podziwem. — Pasa się spokojnie. Dyscyplina. — Nagle słyszę w pobliżu chichot. Oglądam się: Ciośek. Wyciągnął wygodnie na kocu, z nadmuchiwaną poduszką pod głowę. W rękach oczarował wierz: książka. Sam Ciośek w krótkich spodenkach, sportowa koszulka, zegarek na ręce, na łysinie białe siwizy. Wypis — wymaluj uczone na wlepiaturze. — Ciośku — mówię niegłośnie i zaraz się poprawiam — panie Ciośek. — Odkłada książkę, rozgląda się nieprzytomnie. — A, to pan? Skąd bogowie prowadzą? Witamy się wylewnie.

— Odrabiam zaległości — mówi Ciośek. — Czytam całymi dniami, święte zajęcia na starość.

Milczę dyskretnie, chociaż mam wielką ochotę zapytać, któremu z dzieł zawdzięcza opanowanie tej sztuki. Spoglądam na okładkę. Opowiadania Babilona. Ach, więc stał ten uśmiech na pogodnej twarzy.

Siadam, czuję ten się papie rosami. Chwale wygląd krow, podziwiam ich „zdyscyplinowanie”. Ciośek chichocze. — A no, niech pan przejdzie za ogrodzenie. — Wstaje, próbuje unieść drut i odskakuje z okrzykiem. Ciośek pokazuje w uśmiechu dwie nowiutkie protezy.

— Chwyć! Nie, spokojnie. Rozumie pan? Naelektryzowane. Syn mi to założył. Ignacy-Bogdan, elektrotechnik. Mam spokój. Czytam, a naelektryzowany pastuch pilnuje stada. Z początku gospodarze się krzywili, że nie pracuje, że wyleguje się całymi dniami, ale już się przyzwyczaili. Krowy też.

— Panie kochany, technika to wielka rzecz, zginęlibyśmy bez niej — mów.

Wyjeżdżam o zmroku z Wólki. Wracam szlakiem Żeromskiego. Wszystkie znalezione nazwy z „Szyfrowych prac”, z „Wiernej rzeki”, z „Puszczy Jodłowej”: Słupia, Bodzentyn, Św. Katarzyna, Małogoszcz.

Nazwy, te autentyczne, zostały. Nikt nie powąży się ich zmienić. Ale co poza tym?

WALDEMAR BABINICZ

LUBELSKIE NARADY

Pojechaliśmy na zjazd pisarzy, byliśmy na zjeździe, wróciliśmy ze zjazdu. Cztery dni w Lublinie w czasie złotej (nie tak bar-dzo) jesieni, słuch: nie referatów, dyskusja, wyjazd w teren na spotkania literackie, rozmowy w kulturalnych — wszystko to składa się na atmosferę obrad zjazdu, który usiłował podsumować dorobek literatury polskiej. Wagi przydała zjazdowi obecność przedstawicieli najwyższych władz z Wł. Gomułką na czele, który w obszernej wypowiedzi podkreślił ogromne znaczenie literatury w ogólnym dorobku naszego XX-lecia.

Pięć referatów (o prozie, poezji, dramaturgii, krytyce i twórczości dla dzieci i młodzieży), a ponadto jeszcze sprawozdanie prezesa Jarosława Iwaszkiewicza, sprawozdanie Antoniego Olchy z kontaktów zagranicznych nie pozostawiało wiele czasu na dyskusję. Z tych czterech dni trzeba jeszcze wyodrębnić jeden, przeznaczony na spotkania z ludnością w Lublinie i na terenie województwa — w miastach, miasteczkach i wsiach. Od lat już spotkania tego rodzaju należą do tradycji zjazdów literackich. Tym razem były one zorganizowane znakomicie, prawie wszystkie okazały się udane, konfrontacje z czytelnikami naszych książek są zawsze ciekawe, pożyteczne i pełne niespodzianek. Stwierdziłbym przy okazji, że zarówno Lublin, jak i wiele miasteczek i osiedli bardzo podniosło swoją urodę. Ostatni raz byłem w Lublinie w 1950 roku. Zmiany, jakie zaszły w ciągu czternastu lat, są zdumiewające. Lublin zrobił na nas wrażenie pięknego, dużego miasta, jest czysty, uporządkowany, rozległy, zabudowany planowo i rozsądnie. Wiele dobrego dałoby się także powiedzieć o województwie, w którym znaczne przeobrażenia widoczne są na każdym kroku. Piszący te słowa był po raz pierwszy (wstyd się przyznać) w Kazimierzu nad Wisłą. Oczarował nas ten Kazimierz. Byliśmy tam wraz z delegatami zagranicznymi, którzy podzielali to oczarowanie. Tak się złożyło, że najwięcej rozmów miałem z jednym z przedstawicieli Jugosławii — był nim Sreten Asanović, prozaik i eseista z Sarajewa, redaktor naczelny dwutygodnika „Odljek”

(Echo), człowiek młody i sympatyczny, można by rzec: do tańca i do różańca. Rozmowa z nim utwierdziła mnie w przekonaniu (zresztą nie mnie jedynemu), że mamy w Jugosławii nie tylko przyjaciół, ale i znawców naszej literatury. Właśnie: literatura. Wróćmy do niej, gdyż ona stanowiła o istocie zjazdu. Chociaż nie wszyscy i nie w jednakowym stopniu byliśmy zadowoleni z referatów naszych kolegów (za najlepszy uznano referat Włodzimierza Maciąga o prozie), to jednak przyznać trzeba, że obraz minionego dwudziestolecia zarysował się barwnie i że pisarze polscy, generalnie rzecz ujmując, nie zawiedli. Być może, a nawet na pewno nie ma w tym dwudziestolecu arcydzieła na miarę „Cichego domu”. Arcydzieła nie powstają na zawołanie i nie zależą wyłącznie i jedynie od twórców. Na powstanie utworu wybitnego pracuje również czas, przyspieszając albo opóźniając jego narodziny. Lecz w katalogu dwudziestolecia mamy wiele świetnych utworów (wierszy, powieści, dramatów), które wytrzymały próbę czasu i spotkały się z uznaniem krytyki i czytelników nie tylko u nas w kraju, ale także i poza jego granicami. Osobiście sądzę, że największe pretensje można by mieć do krytyki. Gdy się porównuje krytykę lat międzywojennych z naszym okresem, narzuca się nieodparcie przekonanie, że w tamtych latach krytyka spełniała rolę wiodącą. Miejsami wtedy krytyków wielu, a wśród nich tak wybitnych jak Karol Irzykowski i Boy-Zeleński. Towarzyszyli oni stale wysiłkom beletrystyki, poezji, dramatu, a ilość opracowań krytycznych o ambicjach syntezy, które po nich pozostały, jest imponująca. Oprócz Irzykowskiego i Boya, mamy z tamtego czasu książki Leona Pomirowskiego, Kazimierza Czachowskiego, Karola Zawadzkiego, Ignacego Flika, Ostapa Ortwinia i innych. Nasza powojenna literatura nie doczekała się, na dobrą sprawę, żadnego syntetycznego ujęcia. Mamy ujęcia cząstkowe, nie mamy prób krytycznych całościowych. A przydałby nam się chociażby tak systematyczny i porządkujący krytyk i historyk literatury, jak Kazimierz Czachowski, do którego opracowań sięgamy i

dzis, tak wiele jest w jego książkach cennych i niezastąpionych informacji.

Niewątpliwą cechą literatury powojennej dwudziestolecia jest jej zaangażowanie. Począwszy od pierwszych po wojnie książek na tematy okupacyjno-obozowe, poprzez próby podejmowania problematyki współczesnej (udanej i nieudanej), aż po najnowsze osiągnięcia prozy i poezji, wszędzie dominuje postawa pisarza zaangażowanego. I to w dwojakim sensie tego słowa: tym bliższym, ujmującym zagadnienie zaangażowania w sposób bezpośredni, jak i w sensie szerszym, historycznym. Niewątpliwie utworem zaangażowanym była i jest powieść „Popiół i diament”, dramat „Niemcy”, „Niebieskie kartki”, ale także „Śmierć porucznika” i proza o Bolesławie Chrobrym. Czasami wydaje mi się, że cała nasza dyskusja o potrzebie względnie o niepotrzebności zaangażowania jest niepotrzebna, ba! po prostu jałowa. Cokolwiek byśmy nie powiedzieli w dyskusji na ten temat, praktyka pisarska zaświadcza o jednym: pisarz polski „skazany” jest na zaangażowanie. Próba ucieczki z tego świata nie udaje się nikomu. Ale czy istotnie pisarz chce ze świata tego uciekać?

Przyznam się, iż zawiódł mnie trochę referat o dramaturgii. Obowiązki zawodowe nakazują mi interesować się dramaturgią polską od dawna. Czytam wszystko to, co drukuje „Dialog” i co nadsyła do teatru autorzy współcześni — znani i nieznani. Oczekiwałem od Edwarda Csa-to analizy powojennej dramaturgii bardziej skonkretyzowanej. Autor referatu pozostawił niedosyt, za-brało w jego analizie do-powiedzeń. A przecież ko-ga jak kogo, ale redaktora naczelnego stać było na to. Prawda, Edward Csa-to mówił jako ostatni, wszyscy byliśmy już zmęczeni (wysłuchanie tylu referatów to sztuka nie lada) i może zmęczenie sprawiło, że tak odebrałem jego wypowiedź, która w rzeczy samej jest lepsza i ciekawsza.

Tak czy inaczej zjazd był manifestacją siły literatury polskiej. Jej los związany jest z losem kraju. Jakże będzie następne dwudziestolecie, o tym za-decydują przemiany, które nastąpią nie tylko w literaturze.

Jan Koproński



Z grafiki szwajcarskiej. Karol Taggweiter — ilustracja

Notatnik KULTURALNY

14.—20. IX. 1964 R.

PONIEDZIAŁEK

Obchodzimy dzień ochrony zabytków. W Tomaszowie Mazowieckim odbył się zjazd Spółecznych Opiekunów Zabytków, a w Muzeum Archeologicznym w Łodzi odbywała się odczyt na temat ochrony zabytków. Prości ludzie, robotnicy, chłopcy, czasem jakiś działacz kulturalny, czy inna osoba staje w obronie zabytku, który atakuje jakiś wandal, lub po prostu upomina się o konserwację niszczących obiektów. Ci ludzie są właśnie społecz-

nymi opiekunami zabytków. Ale czy ich praca może przynieść pożądane rezultaty skoro instytucje państwowe często zaniedbują konserwację zabytków. Moż na tu wymienić — niestety szkoły, które doprowadziły do dewastacji kilku zabytkowych dworców na terenie naszego województwa. Niedawno byliśmy w Gostomiu pow. Rawa Mazowiecka, gdzie w zabytkowym pałacyku mieści się Państwowe Gospodarstwo Rybne. Zabytkiem nikt się nie opiekuję nawet z woli własnej wyгоды (dach przecieka). A przecież nasz kraj wyniszczony przez barbarzyńskie najazdy nie jest bogaty, jeśli idzie o zabytki. Myślę, że społecznym opiekunom zabytków powinno przysługiwać w sukurs prawo i surowo karać winnych zaniedbań.

WTOREK

Wydział Kultury Woj. RN, jak przystało na instytucję, która rządzi opieką nad pałacami terenowymi — inauguruje rok kulturalno-oświatowy w terenie, w Sieradzu. I program inauguracji wypadł interesujący. Poza omówieniem planów pracy i przemówieniami inauguracyjnymi w Studium Regionalnym przy Muzeum w Sieradzu odbyła się prelekcja Z. Wierskiej na temat „Polska muzyka XIX i XX wieku”

może znaleźć się wydawcą?

CZWARTEK

W sieradzkim Muzeum Regionalnym wystawa „Prze myślu ludowego”. Czegoż tu nie ma? Sieradzkie wyroby z wikliny, przedmioty rzeźbione w drewnie, prace kowali, tkaczy, a najwięcej naczyń i ozdób z gliny. Ceramika ludowa z Sieradzkiego znana jest nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Oglądam i robi mi się smutno, bo przypominam sobie stacyną prze-że mnie kilka lat temu na łamach jednej z łódzkich gazet — bój, o ludowego artystę, którego chciał zagłębić podatkami wydział finansowy, choć artysta był pod ochroną Min. Kultury i Sztuki i nie dągnął ze swojej produkcji zysków, jakie mu przypisywano. Przypominam sobie też całe kolonie pieców garncarskich rozwalonych przez chłopów w pewnej wsi sieradzkiej z powodu podejrzenia poborczych podatkowych, którzy weszli nielegalną produkcję. Wówczas to pewna 90-letnia babcia z Burzenia, która kiedyś tam robiła kogutki i piszczałki z gliny dla własnych „dzieciaków”, musiała wybić swoje figuły — zrobione na konkurs sztuki ludowej, we wsi odległej o 27 km. Swoją piec bowiem — rozwalili, by nie dać powodu do podejrzeń pa-

borcom. A więc to co oglądamy to już nie przemysł, nie rekordziele nawet — to zabytki. Bo młodzi nie garną się teraz do uprawianej niegdyś powszechnie sztuki ludowej. I rzecz zastanawiająca — wystawa nie posiada katalogu, informacji, udziela nam woźny Muzeum, wystawę oglądam w godzinach popołudniowych jako dwunasty gość (wszyscy muszą się tu wpiśwać do książki). Aż dziw bierze, że tych skar-bów sztuki ginącej nie od-wiedzają masowe wycieczki, choćby młodzież szkolna z Łodzi i innych miast, czy nawet Sieradza. Ekspozycja urządzona ciekawie, duża — ale niepropagowana przez nikogo, jak na-leży — szkoda. Zresztą mo-żecie ją jeszcze oglądać, będzie czynna do końca września.

PIĄTEK

Odwiedzam znajomego w Szpitalu Powiatowym w Kutnie. Chłopak już na rekonwalescencji. Chodzi so-bie po korytarzach szpitalnych, narzeka na brak roz-rywek. W szpitalu nie ma bowiem świetlicy. Nie ma tu także ogrodu, ani parku. W szpitalu mówi się, że lo-kał na świetlicę dla cho-rych znalazł się, ale — brak pieniędzy. Chodzi tu o rzeczy drobne w skali tego, bądź co bądź, dużego i niezle uprzemysłowanego miasta, takie jak stollki,

kilka foteli lub krzeseł, te-lewizor, radiodobnik. Czyżby w Kutnie nie mo-żna było znaleźć ofiarodaw-cy? Zastanawiam się mo-żli z kutnowskich zakładów, przecież każdy z was może się znaleźć w szpitalu (nie życzymy tego nikomu) i u-dzielić się w czasie rekona-walescencji za wszystkie cza-sy.

SOBOTA

Dzień otwarcie roku kul-turalno-oświatowego KW ZMS. Impreza ta ma cha-rakter roboczy, w progra-mie spotkanie z delegatem na IV Zjazd Partii tow. J. Pilechowska, która oma-wia problemy pracy kul-turalno-oświatowej. Potem odbywa się seminarium na temat upowszechnienia sztuki w placówce kul-turalno-oświatowej. Z kole-i wykład n. t. „Organiza-cja pracy w klubie”. Do-piero wieczorem przychodzi odpocznik w postaci tań-ców i impreza quizowa o Warszawie. KW ZMS, który prowadzi pracę programo-wą w 31 klubach młodzie-zowych i w 100 Wszczoro-wych Szkolach Aktywu może się poszczycić dosko-nałymi rezultatami w dzie-lzinie upowszechnienia kul-tury i sztuki. Działalność wystaw, tysiące spotkań i odczytów dla młodzieży o sztuce współczesnej, poezji, prozie, malarstwie, muzyce, filmie, przeciągające się nie

kiedy po kilka godzin dyskusji, spotkania z ludźmi nauki i kultury oto bilans pracy KW ZMS i jego agent terenowych w tej dziedzinie. Cieszy szczególnie to, że inicjatywa orga-nizowania tego rodzaju im-prez wychodzi zazwyczaj „z dołu”, od samej mło-dzieży, która będzie w przy-szłości nadsyłać ton w dzie-lzinie pracy kulturalno-oświatowej w terenie.

NIEDZIELA

W lipcu br. drukowaliśmy opowiadanie A. Hitchcocka „Tabula mortua”, którego „Tabula mortua” jest na li-stach zabójcy pewnego eme-rytowanego agenta policji. O morderstwo posiadano goźnego bandyte, ściganego przez wspomnianego agenta. Tymczasem zabój-czyni okazała się żona agenta. Dowiadujemy się o tym z zestawienia listów zony agenta podpisywanych do męża — „Tój morder-cy”, a do matki „Tfoja Marta”. Druk opowiadania sygnalizował „Głos Robo-tniczy”. Ktoś z Łodzi wy-ciął zapowiedź i przesłał ją do „Szpilek”, a te pod nagłówkiem „Bład w afekcie” (nr 33 z 1964 r.) napadają na „bo-guduchawinnych” korekto-row „Głosu”, a my czyta-my zryzykując i mamy okazję do śmiechu.

J. H. W.

PARTNER do TANCA

Historia ta zdarzyła się w Furtwangen - małym miasteczku Czarnego Lasu. Mieszkał tam starszy pan o nazwisku Nicolas Geibel. Zajmował się wyrobem zabawek mechanicznych i w pracy tej uzyskał niemal europejski rozgłos. Konstruował cudowne króliki, które wyskakiwały z kapusty, poruszały uszkami, gładziły wąsiki i na powrót znikły w kapuszczyce; kotki, które myły sobie mordki i miauczały tak doskonale, że nawet psy się myliły; lalki z ukrytymi fonografami, które zdejmowały kapelusze mówiąc: „Dzień dobry. Jak pan się miewa?” oraz inne, które nawet umiały śpiewać piosenkę.

Był czymś więcej niż zwykłym mechanikiem - był artystą. Pracę traktował jako hobby, nieomal jak namiętność. Sklep miał pełen rozmaitych dziwnych rzeczy, których nigdy nie mógłby, czy nie chciałby sprzedać - urządzeń konstruowanych z czystej miłości majstrowania. Wymyślił mechanicznego osiołka, który napędzany prądem z baterii potrafił kłusować przez dwie godziny; ptaka, który potrafił wzbijać się w powietrze, krząć i kraść, by potem spaść na ziemię dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartował; szkielet, który podtrzymywany przez stalowy pret, tańczył dreptałką do wioru fujarek; naturalnych rozmajętych kobietek-lalek grających na skrzypkach; mężczyznę, który palł fajkę i mógł wypić więcej ciężkiego piwa niż trzech przeciętnych studentów niemieckich wziętych razem, co znaczy niemało.

Jak wierzono w miasteczku, stary Geibel mógł skonstruować człowieka, który potrafiłby robić wszystko, co szacowny obywatel potrzebowałby i chciałby zrobić. Razu pewnego zbudował człowieka, który robił zbyt wiele. A stało się to tak.

Młody doktor Follen miał dziecko. Pierwsze urodziny dziecka wprawily dom doktorowi w zamieszanie, lecz z racji drugich urodzin pani doktorowa Follen na cześć wydarzenia wydała bal. Stary

Geibel i jego córka Olga były wśród zaproszonych.

Następnego dnia, po południu, trzy lub cztery serdeczne przyjaciółki Olgi wstąpiły, by porozmawiać na temat balu. Natychmiast, oczywiście, zaczęły dyskutować o mężczyznach i krytykować ich sposobność tańczenia. Stary Geibel siedział w pokoju, ale zdawał się być całkowicie zaabsorbowany gazetą i dziewczęta nie zwracały na niego uwagi.

- Na każdym balu, na który idę, jest coraz mniej mężczyzn umiejących tańczyć - powiedziała jedna.

- A zwłaszcza brakuje takich, którzy by potrafili się zachować - powiedziała inna.

- Robią ci wielką łaskę prosząc do tańca.

- A jak głupio rozmawiają - dodała trzecia. - Mówią zawsze te same, dokładnie te same rzeczy: „Jak pani dziś czaruje? Wygląda, jak pani często jeździ do Wiednia? Och, powinna pani. Jest tak czarujący. Jaką zachwycają ma pani suknię. Co za upejny dziś dzień! Czy pani lubi Wagnera?”. Naprawdę chciałabym, by wymyślił coś nowego.

- Och, ja nie zwracam uwagi na to co mówią - powiedziała czwarta. - Jeśli mężczyzna dobrze tańczy, to nie dbam o więcej; może być nawet głupcem.

- Idealna dla ciebie byłaby nakręcana, figura - powiedziała jedna z dziewcząt.

- Nakręcany tancerz, albo lepiej na elektryczność. Taki nigdy by się nie zmęczył.

Stary Geibel odłożył gazetę i słuchał z uwagą. Gdy dziewczęta pożegnały się, poszedł do warsztatu, gdzie jak opowiadała później Olga, chodził tam i z powrotem chichocząc do siebie. Tego wieczora wiele z nią rozmawiał na temat tańca i tancerzy.

Pytał, co zazwyczaj mówią, co robią, które tańce są najpopularniejsze i jakich figur już się nie tańczy.

Przez następnych parę tygodni był zamyślony i bardzo zajęty; jakkolwiek skłonny w niespodziewanych momentach wybuchać tłumionym śmiechem, jakby ciesząc się szykowanym figle.

W miesiąc później w Furtwangen miał miejsce inny bal. Wydał go stary Wenzel - bogaty kupiec drzewny - z okazji zaręczyn bratanicy. Geibel z córką znów zostali zaproszeni.

Gdy nadeszła pora wyjścia do domu, Olga zapukała do drzwi warsztatu. Ojciec zjawiał się w koszuli, spocony, lecz promieniejący.

- Nie czekaj na mnie - powiedział. - Zaraz za tobą pójde. Mam tu jeszcze coś do skończenia. Powiedz, że przyprowadzę młodego człowieka; młodego, młodego, czło-wieka; doskonałego tancerza. Wszyscy dziewczęta będą za nim szalały.

Choć ojciec trzymał swe prace w tajemnicy, Olga podejrzewała, co zamierzał. Mogła więc przygotować gości. Spodziewano się wiele i na mechanika czekano z żarliwością.

Dał się słyszeć odgłos kół, wielki tumult w przejeździe i do pokoju wpadł Wenzel z rozbitą twarzą, czerwoną twarzą, z podnieceniem i tłumionym śmiechem anonsując: „Pan Geibel z przyjaciółmi”.

Pozdrawiani oklaskami i wybuchami śmiechu „pan Geibel z przyjaciółmi” podeszli na środek pokoju.

- Panie i panowie - powiedział Geibel. - Niech będzie mi wolno przedstawić wam mego przyjaciela - porucznika Fritza. Fritz, drogi przyjacielu, ukłonił się paniom i panom.

Geibel zachęcająco położył rękę na ramieniu Fritza i ter przy akompaniowaniu okropnego zarzutu w gardle, przypominającego grzechotki kości, skłonił się nisko.

- Jest nieco szływny, lecz spacerowanie nie należy do jego mocnych stron. Jest głównie tancerzem. Jak dotąd nauczyłem go jedynie walca, lecz jest w nim bezbłędny. Doskonale utrzymuje tempo, nigdy nie męczy się, nie kopie, nie nadeptnie na sukienkę, będzie trzymał partnerkę tak mocno, jak ona lubi; i tańczył w takim tempie w jakim ona sobie życzy. Proszę, przemów, mój chłopcze.

Starszy pan przekreślił jeden z guziczków na fraku porucznika Fritza i ten natychmiast otworzył usta. Cienkim, wychodzącym jak się zdawało z tyłu głowy głosem powiedział: „Czy mogę mieć przyjemność?”, po czym z trzaskiem zwarł na powrót szczęki.

Porucznik Fritz bez wątpienia zrobił wielkie wrażenie na towarzystwie, lecz żadna z dziewcząt nie wydawała się mieć ochoty na tańiec z nim. Wzdrygały się, patrząc na jego skowad twarz, wlepione w jeden punkt oczy i nieruchomy uśmiech. W końcu Geibel podszedł do dziewczyny, która podjęła rzucony pomysł.

- To jest pani własna myśl, zrealizowana co do jęły - powiedział. - Elektryczny tancerz. Winna mu pani dać szansę. Była to piękna, bystra dziewczyna, lubiąca żarty. Gdy jeszcze gospodarz dodał swe błaganie, zgodziła się. Pan Geibel doposał do niej kukłę i pokazał jak regulować szybkość, jak zatrzymywać i jak się wyswobodzić z jej objęć.

- Będzie pani wiódł w koło - tłumaczył. - Proszę uważać, by wes nikt nie potrącił i nie zmienił kursu.

Stary Geibel włączył prąd i Annette z dziwnym partnerem rozpoczęli tańiec. Przez chwilę wszyscy stali obserwując kukłę wykonywała swe zadanie w sposób godny podziwu; doskonale zachowywała tempo i krok, i trzymając partnerkę w ciasnym, nieustępliwym chwycie obracała się miarowo, jednocześnie w rzucając monotonny potok piszczałki konwersacji, przerywanej krótkimi pauzami skrzypiącej ciszy.

- Jak pani wygląda dziś czarująco. Jaki dziś miły dzień! Czy pani lubi tańczyć? Jak doskonale zgadza mi pani jeszcze jeden tańiec, nieprawdaż? Och, niech pani nie będzie tak okrutna. Jakaż czarująca sukienka ma pani na sobie. Czy ten walc nie jest zachwycający? Mógłbym tak tańczyć zawsze z panią. Czy pani jadła kolację?

Przywykłyzy nico do niesamowitego stworu, dziewczyna ochłonęła ze zdenerwowania i poczęła dostrzegać zabawną stronę wydarzenia.

- Och, on jest po prostu za chwycający - krzyczała, śmiejąc się. - Mogłabym tańczyć z nim do końca życia.

Teraz para za parą szły w ich ślady i wkrótce wszyscy tancerze kregili się za nimi w koło. Nicolas Geibel promieniejący dziecinną radością sukcesu, stał patrząc. Podszedł doń stary Wenzel i szepnął coś do ucha. Geibel zaśmiał się, kiwnął głową, po czym po cichu przemknął obaj do drzwi.

- Dalszejszy wieczór jest świętem młodych - powiedział Wenzel, gdy znaleźli się na zewnątrz. - W kantorku zapaliśmy sobie fajki i na-

pijemy się po szklaneczce reńskiego.

Tymczasem tańiec stawał się coraz szybszy. Mala Annette rozkręcała śrubkę regulującą szybkość partnera i ten wirował z nią coraz prędzej i prędzej. Wyczerpane pary, jedna za drugą, opuszczały krag, lecz tamci tańczyli wciąż szybciej, aż w końcu pozostał sam. Coraz bardziej szalony był ten walc. Muzyka została w tyle; muzyki nie mogąc dotrzymać tempa przez siłli grać i siedzieli patrząc.

Młodzi zaczęli klaskać, lecz twarze starszych z wolna przybierały wyraz zaniepokojenia.

- Czy nie lepiej, kochanie, przerywać? - powiedziała jedna z kobiet. - Zmęczysz się za bardzo.

Ale Annette nie odpowiedziała.

- Mam wrażenie, że zemdlała - zawołała jedna z dziewcząt, zauważywszy jej twarz, gdy szalona para przemyciała obok.

Jeden z mężczyzn skoczył do przodu i schwytał kukłę, lecz impet rzucił go na ziemię a stalowa stopa rozdarła mu policzek; wideł było, że kukła niełatwo rozstanie się ze zdobyczą. Gdyby ktoś zachował zimną głowę, lalkę można było łatwo zatrzymać. Dwa lub trzech mężczyzn mogło ją podnieść i czy wieszając w kącie. Lecz niewiele jest głów zdolnych w podnieceniu do chłodnego myślenia.

Kobiety zaczęły histeryzować, mężczyźni wykrzykiwać przecierne rozkazy. Dwo z nich beznamiętnie rzuciło się na kukłę wytrącając ją z orbity pośrodku pokoju i posyłając na ścianę i meble. Na białej sukni Annette ukazał się strumyczek krwi i poczał snuć się po podłodze jej śladem. Sprawa przybierała obrót makabryczny. Kobiety krzyczały rzuciły się do drzwi; mężczyźni pośpieszyli za nimi.

- Poszukajcie Geibela, spró-wadźcie Geibela! - krzyknął ktoś.

Nikt nie zauważył jego odejścia, nikt nie wiedział, gdzie jest. Kilka osób pobiegło go szukać. Reszta, zbyt zdenerwowana, by wrócić na salę, siłoczyła się u drzwi nasłuchując. Z wnętrza dochodził nieustanny loskot stóp po wypolerowanej podłodze i od czasu do czasu głucha stęknienia, gdy kukła waliła całym ciężarem o jakiś przedmiot by rykoszetem odbić się w innym kierunku. I przez cały czas cienkim głosem powtarzała w kółko: - Jak pani wygląda dziś czarująco. Jaki dziś miły dzień. Och, niech pani nie będzie tak okrutna. Mógłbym tak tańczyć na zawsze - z panią. Czy pani jadła kolację?

Oczywiście szukano Geibla wszędzie tam, gdzie go nie było. Przepatrzone każdy pokój, pośpieszono do jego domu, gdzie trzęsiono cenne minuty budząc starą i głuchą gospodynię. W końcu ktoś zwrócił uwagę, że nie ma również Wenzla, co nasunęło myśl zajrzenia do kantorka, gdzie ich w końcu znaleźli.

Podniósł się bardzo błady i pobiegł za nimi. Wraz z Wenzlem z trudem przepehneli się przez tłum gości. Weszli do pokoju zamykając za sobą drzwi. Ze środka dobiegł stłumiony odgłos szepczących głosów, szybkie kroki, po czym odgłosy zamieszania, szarpnięcia i znów przyciszone głosy. Po jakimś czasie drzwi się otworzyły i ludzie rzucili się do wejścia. Zagrodzili im drogę szerokie ramiona Wenzla.

- Potrzebuję ciebie, i ciebie, Bekler - powiedział zwracając się do dwu starszych mężczyzn. Głos miał spokojny lecz twarz trupio biała. - Reszta proszę: odejdźcie. Jak najszybciej zabierzcie kobiety.

Od tego czasu stary Nicolas Geibel ograniczył się do konstruowania mechanicznych króliczków i kotków, które miauczą i myją pyszczki.

Z ang. tłum. L. U.



działa czwarta. - Jeśli mężczyzna dobrze tańczy, to nie dbam o więcej; może być nawet głupcem.

- Idealna dla ciebie byłaby nakręcana, figura - powiedziała jedna z dziewcząt.

- Nakręcany tancerz, albo lepiej na elektryczność. Taki nigdy by się nie zmęczył.

Przeczytaj w pociągu

Przeczytaj w tramwaju

Przeczytaj u dentysty

Lewym okiem



POWSZECHNE ROZBROJENIE

Tylko człowiek, któremu nigdy na niczym na prawdę nie zależy, może się nie denerwować, chroniąc swoją trzustkę, żółdaczek i inne okolice przed skutkami nadmiernego wydzielenia wewnętrznego. Kiedy lekarz mówi: „nie denerwuj się pan” - to słowa te znaczą właśnie: kładź pan krzyżyk na wszystko, zdrowko najważniejszego.

No tak, ale co by było, gdyby wszyscy zajęli taką postawę? Czy naprawdę wszyscy byłibyśmy zdrowi? Chyba odwrotnie. Nikt by niczego w porę nie dowiedział, nie doniósł, nie zatroszczył się o milion spraw, nie przyszedł na czas z pomocą i tak dalej. Lekarzowi raczej chodzi o to, żeby pacjent się osobiście nie przejmował, żeby przejmowali się za niego inni. Oczywiście - inni też są pacjentami, tylko innych lekarzy. Kółko się zamyka.

Są tacy, którzy spełniają swoje czynności zawodowe z uczuciem nienawiści do całego świata. Pierwsze słowa takiego wprawiają interesanta w

stan ostrej czujności, następne powodują zjeżenie się do skoku, jeszcze jedno spojrzenie - i gość dłużej nie może. Wybucho. Zaczyna się wewnętrzne wydzielenie i nowy atak kolki wieczorem zapewniony.

Są inni - rozbrajający. Tych, również chciałbym nieco odbrzdosić, bo w anegdotcie i w publicystyce cieszą się niezastąpioną sympatią. Uśmiechnięci, grzeczni, pełni zrozumienia dla sprawy, z którą się do nich przychodzi, bezpośredni, serdeczni - tylko konie z takimi kraść. Nie załatwiają nigdy niczego, ale z miejsca cię rozbroją i zostawiają z rozdziawioną gębą na środku gościńca.

Kierowniczką domu wczasowego w Karpaczu przywitała nas uroczym przemówieniem, w którym między innymi stwierdziła: w sprawach wyżywienia nie przychodzić do mnie, mam świętą nęskę złotych na głowę dziennie, żadne interwencje niczego nie zmieniają. Ja wiem - mówiła - wyżywienie nie jest dobre. Trudno, takie czasy. Jeżeli się pod kimś zawałi łóżko - mówiła bardzo dosłownie - trudno, nasz dom jest w przededniu remontu, nie przychodzić do mnie, zobaczycie, że za dwa - trzy lata, po remoncie, nie się walić nie będzie. Rozbroiła.

Okienka pocztowe w pewnym miasteczku zatrzasnęły się przed nami o godzinie jedenastej. Uśmiechnięta paniuszka wyjaśniła, że ona też człowiek i przeciw herbatę musi wypić. Pan nie pija? - zapytała i rozbroiła. Fijam. Przerzywam felleton w pół słowa, zakrećam pióro i - za herbatę. Druga połowa felletonu jest potem mało podobna do pierwszej, ale człowiek to człowiek. W gospodzie przydrożnej pełnia sezonu, wielki

ruch - czy raczej żaden ruch. Wchodzi gość, siada i siedzi bez ruchu dwie godziny, zanim coś się zacznie dziać. Na cała salę jedna kelnerka. Gdzie druga? Proszę bardzo, kierownik uprzejmie wyjaśnia: pojechała na parodniowa wycieczka. Pan rozumie, dziewczyna młoda, chce się przewietrzyć, społeczenie i kulturalnie. Ze sezon? Pan przecież też wyjechał z domu i przybył tu do nas na wieś w sezonie, a tam robota została. Rozbroiła. Robota została. Zona chodzi za mną do biura, dzieci załatwiają klientów. Cóż z tego, że większą część urlopu przesiedzę w ośpodałach, kelnerki też ludzie, popieramy turystykę.

Pan w urzędzie współczuje mi i opowiada, że perypetii miał z załatwieniem własnej sprawy. Strzedawca rozumie moje zdenerwowanie, bo i tego telewizor w domu wciąż się psuje, ale nie przyjmie reklamacji. Nie może. Kierowca odmawia jazdy na Radogoszcz, bo już raz wrucił stamtąd bez nasażera. - Panie, niedługo wszyscy będziemy tramwajami jeździć i spać. Tylko co odmówiłem kobiecie z dzieckiem, wie pan?

Rozbroiła. Nie mam nawet dziecka przy sobie. Rozbrojony błąkam się z pogodą w duszy, ze zdrową trzustką, nikt ode mnie niczego nie oczekuje, ja od nikogo też nie. Broda mi rośnie i kolana prześwitują. Może wreszcie mój lekarz dostarczy jakąś poprawę w stanie ogólnym. Albo nie dostarczy, bo właśnie mu się nie chce i zamiast badania pogada ze mną, jak z człowiekiem, na przykład o tym, że ryby braci przestaly.

Rozbroiła.

CWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Billński (red. naczelny), Konrad Frejlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzisław Stokowski. Kolegium: członkowie - komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornałowska. - Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” - Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia reklam. - Pnumeracja przysyła wszystkie placówki pocztowe. Ilustracje oraz PUPIK „Ruch” - z oznaczeniem na „Ogłosz” Druki RSW „Prasa” - Łódź. Zwirki 17. Zam. 2962. IX.64. F-4